

gazel
owula

NR 1(33)/2014
ISSN 2084-6932

33



luminacja



016



004

OD REDAKTORA

Joanna Wroczyńska

006

DROGOWSKAZY

kierunek EGO

W pogoni za iluminacją (...)

Agnieszka Czapczyńska

kierunek PRAWO

Katarzyna Galicka odpowiada (...)

016

BEZKRESY

Lizbona

Zofia Stanisławska

026



022

NA PAPIERZE

A jednak

Kasia Bartsch-Cielebon

026

CHOPIN WIECZNIE ŻYWI

Fiat lux!

Piotr Mysłakowski

034

CZAS NA CZAS DLA NAS

Po 4 zdjęcie

Grażyna A. Rogala

036

Sport?... to nie dla mnie

Katarzyna Tadeuszek-Jeznach

040



040

NA ZDROWIE

Ewelina Penconek

042

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XXV

Kasia Bartsch-Cielebon

048

ZAKŁADKA

Wolniej nie znaczy gorzej

Z wizytą w Arlington Park

Karolina Kapusta

Bezdomne dziewczyny na (...)

055

Iluminacja w chińskim parku

Kaxia E. Kowalewska

055



058

BAJKI NOWE

Sonet płonący

Anna Błachucka

060

ŻAK

Ciepło, zimno

Paweł Radzko

062

Wawel, to tam są wszystkie (...)

Monika Mikołajek

063

Od pewnego czasu wiem coś (...)

Karolina Kapusta

065



065

PROJEKTOR

Migawkowy nocny spacer

Marek Stor

070

SZORT MAT

Elementarne klocki

Michał Lewandowski

072

BABEL

MY TRAVELS / MOJE PODRÓŻE

Switzerland: Ittingen

Szwajcaria: Ittingen

Agnieszka Thomassen

CHOPIN IST EWIG

Chopins Einsamkeit

von Piotr Mysłakowski

Wydawca

Stowarzyszenie PI-stacja

Stowarzyszenie Pi-stacja

biuro@pi-stacja.org

gazetownia@pi-stacja.org

www.gazetownia.eu

Dział zagraniczny Babel

Beata Witkowska

info@gazetownia.eu

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka

Joanna Dudek-Ławecka

Joanna Wroczyńska

Jolanta Wroczyńska

Foto

Katarzyna Bogucka

Waldemar Ławecki

Marek Pływaczyk

Artur Radzko

Agnieszka Thomassen

Joanna Wroczyńska

Ilustracje

Aleksander Bogucki (okładka,
pingwin)

Mintoft (logo Chopin)

Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Patronat Medialny

PIstacja Media

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.

Copyright

Stowarzyszenie PI-stacja 2013

Od Redaktora



Biegając myślą tu i teraz, iluminacja to stworzenie nastroju świątecznego, wspaniała choinka i dekoracje świetlne migające nocą na Trakcie Królewskim w Warszawie... tak wyglądałoby pewnie najbliższe skojarzenie. Dzisiaj programy komputerowe pozwalają na zmienne wizualizacje świetlne na obiektach architektonicznych, stosowanie różnych barw dzięki lampom metalohalogenkowym czy diodom LED. A wyobraźmy sobie jak wyglądały oświetlenia dwieście lat temu, jak rozświetlano salony, budynki, ile świec trzeba było użyć, każdą zapalić, osłonić od wiatru... i trzymać obok straż pożarną?

Iluminacja to także nagłe olśnienie, kiedy odkrywamy coś, co prawda już dawno odkryte, ale co staje się dla nas objawieniem, prosta zasada w matematyce czy uświadomienie sobie jakiejś zależności. Takie objawienie w psychologii zwane jest „zjawiskiem aha” – dotarło? – Tak, jasne, wiem, o co chodzi!

Czy stan umysłu, w którym człowiek zbliża się do poznania prawdy o świecie i sensie ludzkiej egzystencji jest poznaniem zmysłowym czy duchowym? Chyba wszystkie religie świata pełnią rolę przewodnika na ludzkiej drodze do oświecenia.

Ale do rzeczy. Słowo „iluminacja” wywodzi się od łaciny „illuminare” = rozświetlać i pierwotnie oznaczało ręcznie malowane ryciny, miniatury figuralne lub inicjały na zwojach i księgach; a ponieważ najczęściej zdobiono złotem lub srebrem, stąd nazwy: codex aureus, codex argenteus. Iluminację stosowano w starożytności, największy jej rozkwit nastąpił w średniowiecznych skryptoriach klasztornych, przetrwała do czasów Gutenberga, a i dzisiaj znajduje zastosowanie, także w „Gazetowni”. Czytajcie a znajdziecie...

Joanna Wroczyńska



Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi



W pogoni za iluminacją – czy warto czytać *podniki psychologiczne?*

Agnieszka Czapczyńska





Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni *Fundacji Miejsce Kobiet; Nowy Świat Kobiet*.

„Możesz uzdrowić swoje życie”, „Obudź w sobie olbrzymia”, „Myśl pozytywnie”, „Zrób karierę w pół roku”, „Jak rozmawiać z nastolatkiem” – księgarnie oferują całe działy wydawnictw z dziedziny psychologii, służących rozwiązywaniu problemów osobistych. Drogą lektury można zdobyć wszystkie możliwe kompetencje – radzenia sobie ze stresem, zdobywania pieniędzy, bycia osobą bardziej pewną siebie, tworzenia szczęśliwego związku, mądrego rodzicielstwa, niekonwencjonalnego leczenia chorób somatycznych, czerpania większej radości z seksu, rodzenia a nawet umierania... Powody sięgania po poradniki „samopomocowe” są zrozumiałe i bardzo ludzkie. Czasem to pragnienie dokonania zmian w życiu i nadzieja na coś lepszego. Czasem pionierski duch samodzielnego zmagania się z własnymi trudnościami, zniechęcenie wobec dotychczasowych metod działania albo też chęć uniknięcia stygmatyzacji, jaka wciąż ciąży w naszej społeczności na tych, którzy „leczą się u psychiatry”.

Czy można rozwiązywać problemy osobiste przy pomocy lektur?

Niektóre z pewnością tak. Dotyczy to zwłaszcza problemów wynikających z braku wiedzy na dany temat czy potrzeby potwierdzenia pewnych postaw. Do tego typu skutecznych podręczników należy, moim zdaniem, seria autorstwa Elanie Mazlish i Adele Faber. Te dwie kobiety poznały się pod koniec lat sześćdziesiątych na spotkaniach prowadzonych przez popularnego psychologa dziecięcego dr Haima Guinotta. Przez dziesięć lat, krok po kroku, uczyły się nowych sposobów komunikacji, przez co diametralnie zmieniły życie swoich rodzin. Efektem doświadczeń tych dziesięciu lat była ich pierwsza książka „Wyzwoleni rodzice, wyzwolone dzieci”, za którą zostały uhonorowane prestiżową Christopher Award za „literacki wkład w afirmację najwyższych wartości duchowych człowieka”. Ich kolejna książka „Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły” osiągnęła międzynarodowy i trwający do dziś sukces, stając się bestsellerem w wielu krajach. Elanie Mazlish i Adele Faber cieszą się od lat niesłabnącą popularnością jako ekspertki w dziedzinie komunikacji między rodzicami/nauczycielami a dziećmi. Tym podręcznikom warto zaufać...

Lektura nie zastąpi profesjonalisty

Niemożliwe jest rozwiązywanie za pomocą lektury problemów, których źródła są głębsze niż nasze nawyki, a dotyczą doznanych urazów i głęboko utrwalonych i nieświadomych postaw życiowych. Wiele podręczników „samopomocy” posługuje się bardzo uproszczoną wiedzą psychologiczną i traktuje pewne jej wycinki jako prawdy ogólne, odnoszące się do wszystkich ludzi. Uproszczenia nie są złem samym w sobie, po prostu trzeba mieć do nich dystans. Bywają zwyczajnie nieskuteczne, czasem mogą być też szkodliwe.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że usypiają uwagę, dają alibi, że „coś robię z moim problemem”, podczas gdy w gruncie rzeczy nie robię nic. Dają złudzenie samodzielnego wpływu na problemy, z którymi nie jesteśmy realnie w stanie pomóc sobie samodzielnie. Nie ma możliwości poradzenia sobie za pomocą „podręczników” i samodzielnej pracy, np. z uzależnieniem od środków chemicznych, chorobą psychiczną czy przemocą w rodzinie. Im dłużej odwołujemy swoją decyzję dotyczącą sięgnięcia po pomoc profesjonalistów, licząc na to, że za pomocą zdrowszej diety, afirmacji, pozytywnego myślenia czy wybaczenia krzywd ludziom, którzy nas zranili osiągniemy upragniony spokój ducha, tym dłużej tkwimy w sytuacji, która wymaga zmiany przy udziale innych ludzi.

Czym kierować się przy wyborze poradników psychologicznych?

Kluczowe jest autorstwo książki. To ważne, czy autor/ka posiada profesjonalne przygotowanie w danej dziedzinie. Samo przeżycie trudnej sytuacji, nie poparte wiedzą i doświadczeniem z innego źródła, nie zawsze wiąże się z umiejętnością udzielenia pomocy innym. Czasem też, to co pomogło w jednym przypadku, po prostu nie będzie skuteczne w pozostałych. Wiele słynnych książek z dziedziny psychologii jest autorstwa osób, które łączą osobiste doświadczenie z wiedzą profesjonalną. Często terapeuci, piszący książki popularnonaukowe, to właśnie „osoby uzdrowione”, które poza swoją wiedzą ekspercką, posiadają wrażliwość i głębię, wynikającą z osobistego przeżycia problemu, o którym piszą np. uzależnienia, współuzależnienia, choroby, żałoby, przemoc w rodzinie, trudnego rodzicielstwa itp. W tradycji szamańskiej, prawdziwym szamanem/ką staje się ta osoba, która potrafi uzdrowić samą siebie... Jeśli doda się do tego profesjonalną wiedzę nabytą przez lata praktyki w danej dziedzinie, daje to często charyzmatyczną mieszankę.

Przykładem tego typu dobrej literatury poradnikowej, posiadającej zarówno walor profesjonalnej wiedzy jak i wiarygodności osobistego doświadczenia autora, są np. książki Johna Bradshawa. Dotyczą one dziedziny uzależnień oraz uzdrawiania traumy dzieciństwa spędzonego w rodzinie z problemem alkoholowym. John Bradshaw, słynny amerykański psychoterapeuta, opierając się na własnym doświadczeniu życiowym, stworzył teorię polegającą na docieraniu do krzywd i urazów psychicznych doznanych w przeszłości, leczeniu „skrzywdzonego dziecka wewnętrznego”, które należy odnaleźć i otoczyć opieką. Jego najbardziej znane, tłumaczone na wiele języków książki, to „Powrót do swego wewnętrznego domu” (Medium), „Zrozumieć rodzinę” (IPZiT PTP). Innym przykładem dobrego podręcznika, posiadającego obydwa walory tj. autentyczność autorki i profesjonalizm zawodowy we własnej dziedzinie, są publikacje Pii Mellody, wybitnej psychoterapeutki amerykańskiej, autorki bestsellerów o zjawisku współuzależnienia np. „Toksyczne związki” (Czarna Owca). Wspaniałymi poradnikami psychologicznymi dla osób zainteresowanych przekraczaniem stresu, bólu i choroby oraz po prostu rozwojem własnym, są książki Jona Kabat-Zinna (np. „Życie piękna katastrofa” (Wydawnictwo Czarna Owca, Instytut Psychoimmunologii). Ich autor, połączył osobiste doświadczenie kilkudziesięciu lat medytacji ze swoją praktyką terapeutyczną, tworząc nową gałąź medycyny, zwanej medycyną behawioralną. Stworzył autorski program redukcji stresu i relaksacji, początkowo praktykowany w klinice medycznej przy Uniwersytecie w Michigan i opierający się na rygorystycznym szkoleniu uważności, rozumianej jako świadomości każdej chwili. Podręczniki Kabatt-Zinna są przykładem bardzo inspirującej integracji osobistego doświadczenia, głębokiej wiary w skuteczność własnej metody oraz, co równie istotnie, bardzo szerokiej wiedzy medyczno-psychologicznej wynikającej z wieloletniej praktyki zawodowej.

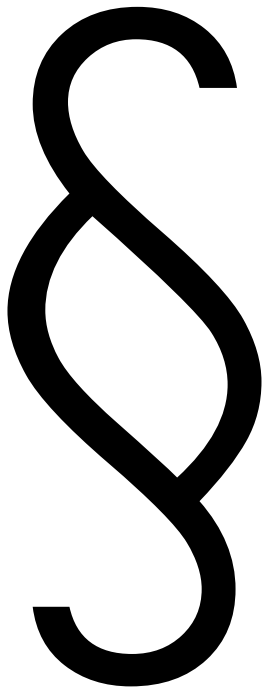
Przy wyborze poradnika ważna jest kategoria problemów, którymi książka się zajmuje. Problemy te, krótko mówiąc, muszą dawać się rozwiązać w realny sposób, a nie tylko metodą „cudu”. Pewne trudności jakie napotykamy w życiu są nieodwracalne, np. choroby o podłożu genetycznym, choroby w bardzo zaawansowanej fazie rozwoju itp. Nadziei nie wolno nikomu odbierać, ale wzmacnianie nierealnych oczekiwań jest po prostu „żerowaniem” na ludzkim cierpieniu.

Innym ważnym wskaźnikiem dobrego podręcznika samopomocy jest dostosowanie informacji do różnic, jakie występują pomiędzy odbiorcami książki. Nie istnieje jedno panaceum dla wszystkich. Najskuteczniejsze jest podawanie wielu strategii, które mogą pomóc w zmierzeniu się z problemem. Poradnik powinien opierać się na potwierdzonych źródłach, np. czyjeś dłuższej praktyce w danej dziedzinie, badaniach, opiniach innych ekspertów w tym samym obszarze. Przed kupieniem kolejnej książki sprawdźmy, czy zawiera ona bibliografię i jakie pozycje są w niej zawarte. Podana literatura może zarówno dodać wiarygodności zawartym w poradniku informacjom, jak i pozwala na dalsze studiowanie problemu we własnym zakresie.

Czytanie poszerza horyzonty, to banalne stwierdzenie dotyczy także poradników psychologicznych. To w końcu dzięki popularyzacji na szeroką skalę wiedzy z zakresu psychologii, żyjemy w czasach coraz większej świadomości na temat relacji międzyludzkich, komunikacji interpersonalnej, stanów psychiki itp. Czytajmy, czytajmy, czytajmy, przy lekturze utrzymując jednak stały kontakt ze swoim zdrowym rozsądkiem.



AC



Katarzyna Galicka

*odpowiada na pytania
czytelników*



Ochrona interesów majątkowych rodziny w razie odpowiedzialności karnej jednego z małżonków

Państwo X pozostają ze sobą w związku małżeńskim od roku 2008. Nie zawarli umowy majątkowej małżeńskiej (potocznie: intercyza), ani też nie została orzeczona wobec nich rozdzielnosc majątkowa przez Sąd.

Pani X popełniła przestępstwo, za które została skazana na grzywnę w wysokości 50.000 zł oraz orzeczono wobec niej nawiązkę na rzecz Skarbu Państwa w kwocie 10.000 zł, a także obciążono ją kosztami sądowymi w wysokości 4.000 zł.

Obecnie Pani X nie pracuje, nie posiada żadnych innych dochodów, ani majątku osobistego. Wobec powyższego, Sąd nie jest w stanie dochodzić należności z jej majątku osobistego, ani źródeł dochodów.

Pan X obawia się, że może być prowadzona egzekucja z majątku wspólnego, tzn. mieszkania własnościowego małżonków X oraz



Katarzyna Galicka
Absolwentka WPiA UW,
aplikant adwokacki

z jego majątku osobistego, które stanowiły jego własność jeszcze przed zawarciem związku małżeńskiego, w przedmiocie trzech nieruchomości, które posiada, a które położone są w Szczyrku, Sopocie i Józefosławiu. Chciałby on również zabezpieczyć się przed ewentualnymi działaniami ze strony Sądu czy komornika, w szczególności zamierza zawrzeć z żoną Umowę o rozdzielnosci majątkowej małżonków. Zastanawia się ponadto nad innymi sposobami ochrony rodziny przed powyższymi roszczeniami.

Odpowiedź

Orzeczone środki w stosunku do jednego z małżonków, który został skazany za przestępstwo co do zasady podlegają zaspokojeniu z osobistego majątku skazanego oraz z wynagrodzenia za pracę lub inne usługi świadczone przez niego osobiście, a także z przysługujących temu małżonkowi praw autorskich i pokrewnych (np. wynalazek, autorstwo książki itp.). Dopiero gdy zaspokojenie z tych źródeł jest niemożliwe i zostanie to stwierdzone w toku właściwej procedury egzekucyjnej wchodzi w grę tzw. odpowiedzialność posiłkowa z majątku wspólnego.

Podobnie, egzekucja z majątku wspólnego nie powinna dojść do skutku, gdy wierzytelność jest konsekwencją popełnienia przestępstwa na szkodę małżonka (np. w sytuacji znęcania się).

Gdy jednak nie zachodzą powyższe wyłączenia, jedynym środkiem obrony drugiego małżonka jest żądanie ograniczenia lub wyłączenia (nawet) w całości zaspokojenia należności z tytułu grzywny, nieważki, czy kosztów sądowych.

Żądanie ograniczenia następuje w drodze powództwa przed sądem cywilnym, wytoczonemu przeciwko Skarbowi Państwa (tzw. powództwo przeciwegzekucyjne).

Żądanie to może być oparte na tym, że małżonek skazany bądź wcale,

bądź też w minimalnym stopniu przyczynił się do powstania majątku wspólnego, czyli kiedy drugi z małżonków swoją pracą spowodował powiększenie majątku wspólnego.

Możliwe jest też powołanie się na klauzulę współżycia społecznego, tj. na sytuację, gdy dochodzenie roszczeń przez Skarb Państwa z majątku wspólnego jest generalnie niesprawiedliwe, np. gdy rodzina nie korzystała z przestępczej działalności skazanego małżonka albo nawet poniosła w związku z tym określoną szkodę.

Należy pamiętać, że nie jest dopuszczalne dochodzenie roszczeń przez Skarb Państwa z majątku osobistego małżonka, który nie został skazany. Oznacza to, że nieruchomości wskazane w stanie faktycznym, są bezpieczne – nie będą przedmiotem egzekucji komorniczej.

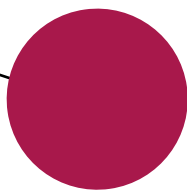
Rady praktyczne:

Koszty powództwa przeciwegzekucyjnego, to co do zasady 5% od wartości przedmiotu sporu, tj. wartości majątku, który jest zagrożony.

Powództwo należy wytoczyć przed sąd cywilny, w okręgu którego prowadzona jest egzekucja, tj. sąd, przy którym działa komornik prowadzący egzekucję.

Egzekucję do czasu rozstrzygnięcia powództwa można tymczasowo wstrzymać w drodze tzw. zabezpieczenia. Wniosek musi być skierowany do tego samego sądu, co powództwo. Wniosek będzie miał następujące brzmienie: „Wnoszę o zabezpieczenie powództwa przeciwegzekucyjnego poprzez wstrzymanie toczącego się postępowania egzekucyjnego, do czasu prawomocnego rozstrzygnięcia” oraz podać uzasadnienie oparte na tym, że dalsze prowadzenie egzekucji będzie oznaczało ruinę finansową rodziny, czyli wykazać istnienie tzw. interesu prawnego w udzieleniu zabezpieczenia.

KG



Lizbona

Zofia Stanisławska

Podróżowanie to jedna z najprzyjemniejszych form spędzania wolnego czasu. Może być rozrywką, czasem staje się pasją, a gdy cel podróży zaczyna się powtarzać, przeradza się w uczucie. Wtedy zaczyna się najbardziej pasjonujący etap podróży – przemieszczanie się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Nagle ważniejsze od dat i faktów z przewodnika stają się codzienność mieszkańców i atmosfera miejsca. Tę magię i siłę przyciągania ma Lizbona.

Kiedy mam opowiedzieć komuś o tym mieście, przypomina mi się sytuacja sprzed wielu lat – reakcja jednego z widzów podczas projekcji filmu Wima Wendersa *Lisbon Story*. Kiedy siedziałam wpatrzona w kadry znanych na pamięć uliczek Alfamy, nagle z tyłu usłyszałam szept: „Jakie to obrzydliwe, wszystko się wali, tynki odpadają, koszmar!”. Rzeczywiście, jeśli ktoś nie lubi południowych miast z ciasnymi uliczkami, skwarem, hałasem tętniącego życia i tysiącem trudnych do rozpoznania zapachów, lepiej niech jedzie do Hagi.

Co prawda od tego czasu Lizbona bardzo się zmieniła, ale wciąż jest typowym miastem południowej Europy, gdzie z lichych kamieniczek odpadają płaty tynku, kalesony suszą się na wietrze, a stada gołębi oblepiają balustrady balkonów. Ruch samochodowy przyprawia o zawrót głowy (mieszkańcy stolicy zwykle tracą jedną trzecią dnia, polując na wolne miejsce do parkowania), a ulicami płynie nieprzerwany, głośniejszy strumień życia. Wszędzie trzeba się wspinać albo zbiegać po śliskim chodniku, jednocześnie uważając, aby nie wpaść pod tramwaj. Położone na siedmiu wzgórzach miasto przypomina labirynt, w którym oszołomiony turysta łatwo może się zgubić, a gdy – nie daj Boże – jest zmotoryzowany, zapętląć w gąszczu uliczek. Jest to jednak złudne wrażenie, które wkrótce mija, gdy zaczynamy baczej przyglądać się strukturze tego dziwnego organizmu. Okazuje się, że w tym chaosie jest metoda, a nawet logika, o czym świadczy położenie i historia miasta.

Jego początki sięgają 1200 roku p.n.e., kiedy to Fenicjanie upatrzyli sobie brzeg nad wpadającą do Atlantyku szeroką deltą Tagu na świetne miejsce do założenia faktorii. Potem byli Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie, Swebowie, wreszcie Arabowie (tu zwani Maurami), którzy zawładnęli Półwyspem Iberyjskim na czterysta lat. Wreszcie w XII wieku dzielny Alfons Henryk, syn burgundzkiego księcia i księżniczki Teresy (córci króla Leonu), postanawia zostać królem należącego do matki księstwa Portucale, które leży na północy dzisiejszej Portugalii. Tworzy odrębne państwo i rozpoczyna rekonkwistę. Kulminacyjnym momentem wojny z niewiernymi jest zdobycie Lizbony w 1147 roku.

Wpływy arabskie dają się zauważyć w kulturze portugalskiej na każdym kroku, poczynając





od języka, kończąc na architekturze. Warto też wspomnieć początki historii słynnego uniwersytetu w Coimbrze, który czerpał z bogatego dziedzictwa intelektualnego Maurów. Arabskim budowniczym zamków, kartografom, nawigatorom i lekarzom Portugalia zawdzięcza swą morską potęgę. Trudno sobie wyobrazić Lizbonę tuż po zdobyciu jej przez Alfonsa. Na pewno była kulturowym tygłem, bogatym, wielojęzycznym portem, który bez większego uszczerbku przetrwał historyczne zawieruchy. Plan wąskich uliczek starej Alfamy to pozostałość po arabskiej architekturze. W okresie rekonkwisty i tuż po niej wielu Maurów przyjęło chrzest i wtopiło się w nowy krajobraz chrześcijańskiego państwa. Właśnie w starej Alfamie wyrasta ponad zwartą zabudowę kamieniczek piękna, surowa katedra romańska – Sé de Lisboa.

Jednak Lizbona to przede wszystkim zabytki niepowtarzalnego stylu, który na cześć króla Manuela I (1469-1521) nazwano manuelińskim. Powstał on z bezpośredniej inspiracji zamorskimi podbojami Portugalczyków i jest wspaniałym świadectwem rodzącej się potęgi kolonialnej. Położona na zachodnim krańcu Europy Portugalia była oknem na nieznaną świat, a horyzont oceanu od dawna kusił jej mieszkańców żądnymi przygodami i bogactwami. Trudno się dziwić, że historia przycupniętej na skraju Europy Portugalii to historia podróży, a jej stolica z morskiego żywiołu czerpała siłę. Nad brzegiem Tagu położone są najważniejsze zabytki miasta. Słynna dzielnica handlowa Baixa, która stanowi serce miasta, otwiera się o Tag wielkim placem Praça de Comércio (Plac Handlowy), dokąd przez wieki docierały statki obciążone przyprawami, srebrem, złotem, diamentami, kawą i egzotycznymi zwierzętami z Nowego Świata. Sprowadzano też niewolników, choć niesłusznie uznaje się Portugalczyków za prekursorów tego niechlubnego procederu, gdyż niewolnictwo wśród mieszkańców Afryki istniało o wiele wcześniej. Jednak prawdą jest, że uczniowie Henryka Żeglarza jako pierwsi Europejczycy ochoczo zabrali się do „rozkręcania” tego strasznego interesu.

Wyruszając z Praça de Comércio w kierunku ujścia rzeki, mijamy współczesny pomnik ku czci odkrywców i docieramy do klasztoru hieronimitów. Ta potężna budowla z jasnego piaskowca to sztandarowy przykład stylu manuelińskiego, który królował w Portugalii na przełomie XV i XVI wieku, zastępując płomienisty gotyk i prawie cały renesans. Gdy w Europie Środkowej budowniczowie dopieszczali gotyckie katedry, a włoscy architekci zaczęli śnić renesansowy sen, zwróceniem w stronę Atlantyku, Portugalczycy chłonili egzotyczną urodę mórz, przekuwając ją w konstrukcje z jasnego piaskowca. Węzły żeglarskie, koralowce, algi, wodorosty, drzewo korkowe, kotwice, łańcuchy, wszystko co stworzyło potęgę tego małego narodu znalazło się na murach kościołów i katedr, a strzeliste wieże wieńczyła sfera, kula poprzecinana równoleżnikami, herb króla Manuela I. Olśniewająca koronkowa fasada klasztoru hieronimitów zwrócona jest ku morzu i nawet główny portal, choć od wieków wita wiernych zamkniętymi drzwiami, spogląda na rzekę. Stąd wyruszały statki, z dumą ukazując światu czerwony krzyż na wydętych od wiatru żaglach – znak Zakonu Chrystusowego, a dzielni żeglarze przyjmowali ostatnie błogosławieństwo przed podróżą. Nie bez powodu na tyłach klasztoru znajduje się wspaniałe muzeum marynarki z unikalnymi modelami portugalskich statków od XV do XX wieku.

Nieco dalej z wody wyrasta niespodziewanie zadziwiająca budowla, latarnia morska Torre de Belém. Prowadzą do niej kamienne schody i w czasie odpływu można bez trudu stanąć u jej stóp, nie korzystając z kładki zbudowanej na potrzeby turystów. Siedząc na stopniach i wdychając odurzający zapach alg, tak charakterystyczny dla tutejszych odpływów, wiele razy wpatrywałam się w profil nosorożca ukryty w prawym rogu czworokątnej budowli. Trudno go dojrzeć, gdyż trzeba oderwać wzrok od koronkowych ornamentów latarni oraz baszt królujących nad naszymi głowami i spojrzeć nieco w dół.



Wielki róg egzotycznego zwierzęcia nie był jedynie kaprysem artysty. Z wyprawy wzdłuż wybrzeży Afryki żeglarze przywieźli Manuelowi I osobliwy dar, nosorożca, który zresztą szybko zdechł po trudach podróży. Po spokojnych pastwiskach sawanny spienione fale Atlantyku okazały się zbyt dużym wyzwaniem. Podobno sam Albrecht Durer naszkicował głowę tego bajkowego stwora.

O ile łatwo nam wyobrazić sobie przepych na dworze królewskim, o tyle trudno w szczegółach odtworzyć obraz miasta, gdyż jego dawną historię w 1755 roku pogrzebało na zawsze straszliwe trzęsienie ziemi. Ocalały budowle, które nie były w sercu miasta, gdzie znajdowało się epicentrum trzęsienia. Dzisiejsza Baixa jest dziełem słynnego ministra Pombala, wielkiego zwolennika władzy absolutnej i zaciętego wroga jezuitów (pamiętają Państwo Misję Ronalda Joffe?). To jego oświeceniowej wizji zawdzięczamy plan odbudowy miasta i jego obecny wygląd.

Jednak prawdziwa Lizbona to nie tylko stary brzeg Tagu i malownicza Alfama, rozbrzmiewająca muzyką fado. To także piękne barokowe pałace z tarasami wychodzącymi

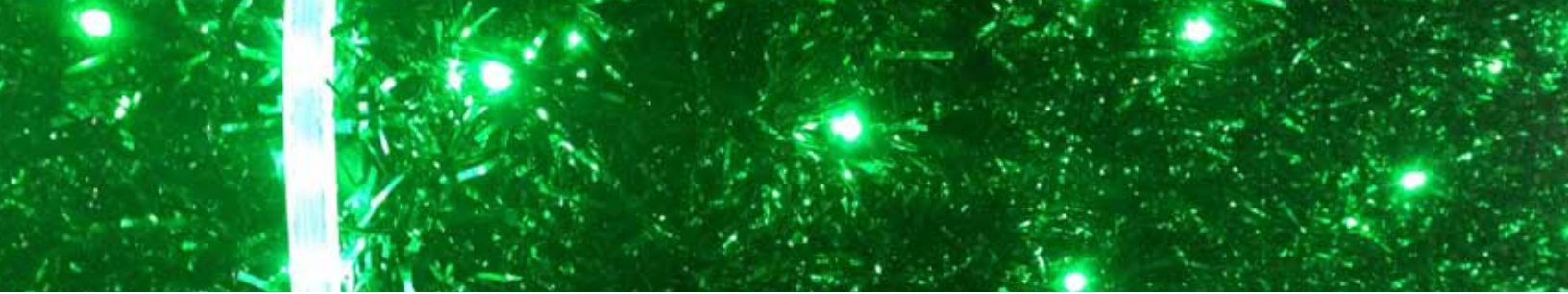
na Tag i barokowe kościoły. Chociaż daleko im do pełnego przepychu baroku polskich świątyń, ich zakurzone, drewniane i skromne wnętrza są wspomnieniem dawnej świetności Portugalii i wielu jej pokoleń, które z błogosławieństwem Kościoła wyruszały w nieznane. Nie przypadkiem bogatsze budowle sakralne wznosili Portugalczycy w swej zamorskiej kolonii, Brazylii.

Prawdziwa Lizbona to także miradouros, tarasy widokowe, z których można podziwiać miasto, niezliczone schody i schodki łączące ulice, place, podwórza, to malownicze sekretne przejścia, a także pastelarias, największe „odkrycie” Portugalczyków. Być może wczesne poznanie kawy i przypraw, a może tęsknota wiecznych podróżników za domem przyczyniły się do powstania tej jakże wspaniałej – można śmiało rzec – instytucji. Miejsca te przypominają francuskie bistra, ale tak naprawdę są połączeniem kawiarni, baru i restauracji.

Życie w pastelaria biegnie nierównym rytmem. Rano tysiące ludzi idących do pracy wpadają tu na kawę i ciastko. Słodko pachną bułki, bucha para z ekspresów do kawy, białe naparstki filiżanek migają w rękach kelnerów. Po fali biegnących do pracy obywateli przychodzi czas na tych, których życie toczy się innym trybem, emerytów, studentów, artystów i matek z ładnie opalonymi dziećmi. W drodze na targ trzeba wstąpić na kawę, pogadać z sąsiadem i przeczytać, co dzieje się w piłkarskiej lidze. W porze obiadu pastelarias przeżywają kolejne obłęzenie ludzi przychodzących na obiad, a ostatni szturm odbywa się późnym wieczorem. I tak przez całe lata i pokolenia. Nic dziwnego, że socjalistyczne idee Rewolucji Goździków zupełnie się tu nie przyjęły. Gdyby naród portugalski miał się żywić w znacjonalizowanych barach mlecznych, po dwóch dekadach nacja ta zniknęłaby z powierzchni ziemi lub wyemigrowała do Brazylii. Wystarczyło, że w 1974 roku obywatele usłyszeli o nacjonalizacji winnic i restauracji, a natychmiast przeszła im chęć tworzenia realnego socjalizmu. Wydaje się, że jedzenie i kuchnia są główną siłą napędzającą Portugalczyków, że dziś dumne karawele zastąpiły białe obrusy na stołach w niezliczonych kawiarniach i restauracjach. Jedzenie jest tu jednak pretekstem, aby spełnić najistotniejszą potrzebę portugalskiej duszy – potrzebę towarzyskich spotkań i nieustannego uczestniczenia w codziennym życiu swojego miasta. Tu nie było wielkich wojen, katastrof, zwrotów historii. Dla bywalców pastelarias ważniejsza jest ich własna, osobista historia, przeżywana na nowo każdego dnia w cieniu murów ukochanego miasta, wśród zapachu świeżo mielonej kawy lub smażonych sardynek.

Największym sekretem portugalskiej stolicy, czymś co nieustannie mnie zachwyca, jest jej wielowarstwowość. Lizbona jest jak wielka, łuszcząca się cebula, z której odrywa się kolejne warstwy, by odkryć zupełnie nowy pejzaż, zaskakujący szczegół, nieznaną historię. To najbardziej zadziwiająca podróż w głąb czasu. A jeżeli rzeczywiście gdzieś spada tynk, nigdy nie trafia do filiżanki z kawą.

ZS



A jednak

Kasia Bartsch-Cielebon

To była dziwna rozmowa. Nieznany on. Nieznana ona. Nieznany parapet sklepowy. Nieznani mijający ich ludzie. Tylko temat wspólny. Dla niej już nie nowy, dla niego jeszcze świeży.

– Ja już naprawdę nie wiem, co mam na ten temat sądzić – mówił on – i boję się coś córce podpowiadać, żeby nie było źle. I sam nie wiem, co bym zrobił na jej miejscu.

Ona patrzyła na sklepowe wózki. Takie straszne słowa. Aborcja eugeniczna. Oba niepolskie, a tak zadomowione. Już wysłuchiwała historii o ciąży córki. Że badania prenatalne. Że stwierdzili zespół Downa. Że sugerują, wręcz naciskają na

usunięcie ciąży. Ona już to zna. Już zna tę piosenkę.

– Córka się boi. Naprawdę się boi. Ona jest bardzo dobrym człowiekiem, ale... Ale to straszne obciążenie. Mieć dziecko z downem. Ludzie cię wytykają palcami, oglądają się lub patrzą z litością, albo inaczej – mówił on – no i jaka przyszłość dla takiego dziecka, człowieka? No, a rodzina?

Ona potakiwała głową. Już zna tę melodię. Że świat ich nie rozumie, że dziecko niewiele umie.

– Ja naprawdę pani dziękuję, że zechciała mnie pani wysłuchać. Bardzo tego potrzebowałem. Może jeszcze tego nie ułożyłem, ale chociaż powiedziałem.

Bardzo dziękuję.

Ona podniosła dłonie do twarzy i przetarła policzki. Lekko zachrypniętym głosem zaczęła:

– Mam dziecko z zespołem Downa.

On spojrzał zaskoczony. Nagle zastygł.

– Teraz ma już prawie trzy lata – mówiła dalej.

On siedział zastygły z nagle splecionymi palcami.

– Mnie też proponowano aborcję – mówiła dalej – akurat kiedy się dowiedziałam o trisomii, to taka inna nazwa, wracałam samochodem od lekarza... zobaczyłam chłopca z downem. Może miał 15, może więcej lat. Bardzo charakterystyczne cechy. Trudno byłoby go nazwać ładnym. Ja jestem całkowicie przeciwna aborcji. Jakiegokolwiek. Mogą na mnie pluć, albo przeklinać, wszystko mi jedno. Dziecko nigdy nie jest winne, że się poczęło. I właśnie wtedy przyszła mi do głowy myśl. Że w życiu, tak naprawdę nie ma przypadków. Nie żałuję, że urodziłam moje dziecko.

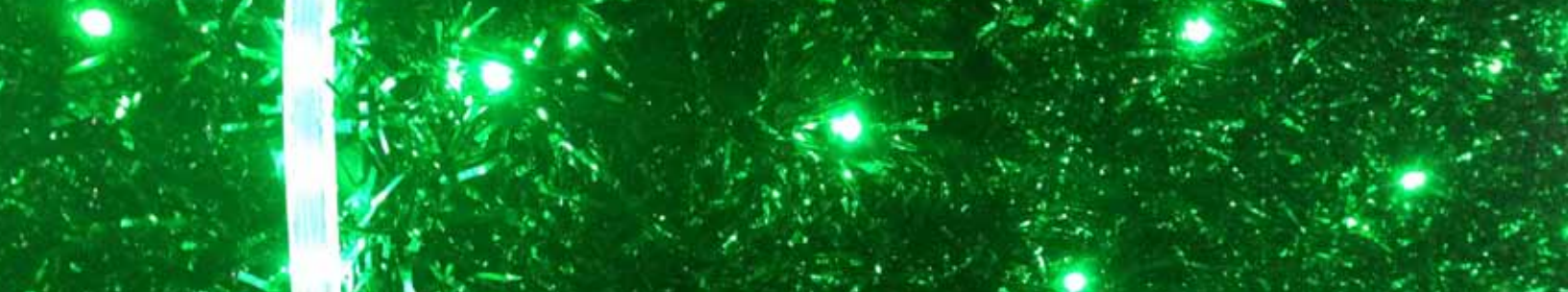
W tamtym właśnie momencie, widząc tamtego chłopaka, pokochałam je jeszcze bardziej niż wcześniej. Może jestem dziwna. Trudno. Tak było.

– A mąż?

– Mąż to świetnie rozumie. Zresztą on też jest przeciwnikiem aborcji – uśmiechnęła się nagle – wie pan, słyszałam, że dla niektórych kobiet usunięcie ciąży to nic takiego. Ja znam kilka kobiet po skrobance. Widocznie znam te, które cierpią. Jedna byłaby gotowa oddać wszystko, żeby wrócić do tamtego momentu. Nawet pan sobie nie wyobraża, jaką to robi dziurę w kobiecie. A wie pan, co jest takiego szczególnego w aborcji eugenicznej?

On pokręcił przecząco głową.

– Można ją wykonać nawet w szóstym miesiącu ciąży – zacisnęła usta – nawet w szóstym miesiącu. Wtedy, gdy dzieci bez obciążeń są ratowane. Aby tylko żyły. Inkubatory, intubacje, procesy podtrzymujące życie. A takie dziecko z downem... – zamilkła na chwilę, aby powstrzymać łzy



– u kobiety, która decyduje się na taką aborcję, wywołuje się sztucznie poród. Ona normalnie rodzi. Jak każda inna. Tylko, że dziecko zamiast w ramiona mamy trafia do... no niby ma trafić do ciepłego i miękkiego łóżeczka, w którym ma czekać na śmierć. Ma trafić... Trafia na przykład do... miski i na półkę. Albo do worka. A co! Po co mają sobie nim głowę zaprzętać! Będzie szybciej. Myśli pan, że takie dziecko nie czuje? Czuje doskonale. Ma taki sam układ nerwowy jak każdy inny. Że nie rozumie? A co tu jest do rozumienia? Nie chcemy cię. Jesteś spartaczony. Pozbędziemy się ciebie i nikt nie będzie miał już z tobą kłopotu. Niech pan się sam postawi w takiej sytuacji. Niech pan tylko pomyśli. Jest pan w obcym miejscu. Nagi. Jest panu zimno. Jest pan głodny. Nikt nie przyjdzie, aby dać pić czy jeść. Przykryć. Pocieszyć. Tylko: co, jeszcze żyjesz? Długo mamy czekać? Śpieszy nam się do domów. Do naszych rodzin. Umieraj wreszcie. Niech pan

się postawi w takiej sytuacji. Obolały, głodny i opuszczony. Bunkier śmierci ojca Kolbe... A jakże. A kobietom się wmawia, że takie dziecko nie jest niczego świadome. Dlaczego więc ciężarnym mówią, żeby mówiły do swojego brzucha? Głaskały go. Słuchały muzyki. Bo co? Bo to są inne dzieci?

– Moja córka też mówi i głaszcze – pokiwał głową on. W głosie zabrzmiała jakaś wilgoć – i śpiewa – pociągnął nosem.

– A że się ludzie ogladają. A niech tam. To ich problem. Mnie wściekało, kiedy ludzie mi współczuli. Nie byli w stanie zrozumieć, że ja mam dziecko. Rozumieli tylko, że ja mam kłopot. A to był prezent. Niesamowity. Teraz czasami zastanawiam się, kto tu komu daje więcej. Ja mojemu dziecku, czy ono mnie. W nim jest taka niesamowita radość i tyle miłości, że... – zamilkła, bo już nie była w stanie mówić. On pokiwał głową.

– Porozmawiam z córką. Pomyślimy. Dziękuję. Naprawdę...

i za to, że chciała mnie pani wysłuchać i że pani to wszystko powiedziała... Naprawdę dziękuję.

Kilka miesięcy później ona stała i patrzyła na migające na choince światełka. Właśnie skończyła rozmawiać przez telefon. Kiedy zadzwonił, pomyślała, że jeszcze ktoś z życzeniami. Nie pomyślała, że to on. Na zakończenie tamtej rozmowy dała mu swoją firmową wizytówkę. Raczej tak. Po prostu, bez nadziei na znak. Że może on, że może jego córka. Że może będą chcieli o coś zapytać.

– Moja córka urodziła – mówił on
– dziewczynkę. Będzie mieć... ma na imię Ewa. Boimy się. Rozumie pani. Ale kochamy tę kruszynkę. Jeszcze jest dotleniana. Ale wyjdzie z tego. Wierzę. Dziękuję. A i tak... zapomniałem, radosnych Świąt.

Ona stała i patrzyła na migające na choince światełka. Pomyślała: jest miłość, jest nadzieja. A potem płakała. Ze szczęścia.

KBC





Fiat lux!

Piotr Mysłakowski



Tytuł nie jest hasłem reklamowym luksusowej wersji Fiata, lecz biblijnym cytatem „Niech stanie się światłość!”. Na kanwie tego cytatu pozwolę sobie na luźne refleksje, które doprowadzą nas do patrona niniejszej rubryki.

Okres bożonarodzeniowy i noworoczny wizualnie kojarzy się ze światłem sztucznym we wszelkich jego odmianach. Natura w tym okresie nie rozpieszcza nas światłem naturalnym, dzień Bożego Narodzenia to przecież dzień przesilenia, od którego dopiero po trochu przybywa nam Światła. Te zimowe ciemności tradycyjnie rozświeciliśmy, by wyrazić radość ze Świąt i ich nadzwyczajność.

Ludzkość zawsze posługiwała się światłem dla podkreślenia wagi chwili i szczególności wydarzenia: czy był to przyjazd Najjaśniejszego Pana, czy pierwszy dzień sesji sejmu, czy inny powód do radości. Była to też manifestacja uczuć społeczeństwa, czasem spontaniczna, czasem sterowana politycznie. Jednym z głównych narzędzi takich manifestacji była iluminacja.

Samo słowo pochodzi od łacińskiego *lumen*, co oznacza „światło“, a w poetyckiej przenośni także „dzień“ i „życie“, synonimem zaś jest *lux* – był to więc symbol życia.

Tradycje świąteczne także posługiwały się tym symbolem: nieodłącznym elementem świątecznej choinki jest przecież jej oświetlenie. Za mojej młodości, do lat 60-tych stosowano prawdziwe świece, montowane w specjalnych blaszanych szczypczykach,

którymi chwymano gałązkę świerka czy jodełki. Świeczki z trudnością utrzymywały pion, ale nie to było najważniejsze. Należało nie spowodować pożaru mieszkania: płonące żywym płomieniem liczne świece na wątych gałązkach podsuszanej choinki to była prawdziwa bomba zapalająca. Aż dziw, że w naszym domu nigdy nie zdarzył się pożar (choć widziałem płonące choinki wyrzucane w popłochu przez okno na ulice). W końcu pojawiły się elektryczne girlandy z żaróweczkami i świece odeszły do historii. Ale do tego czasu świeca była przez długie wieki głównym i jedynym źródłem sztucznego oświetlenia!

Gdy piszę te słowa, warszawskie Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat właśnie rozbłysły świetlną dekoracją, z roku na rok piękniejszą, wymyślniejszą plastycznie, dzięki nowym technikom źródeł światła. Widok jest bajkowy.

Włączmy na chwilę wyobraźnię. Jest pierwsza połowa XIX wieku, ulice i domy toną w ciemnościach. W niektórych miastach europejskich dopiero instaluje się latarnie gazowe (1814, Londyn), do latarni elektrycznych jeszcze daleko (1848, Paryż). W Warszawie gazowe oświetlenie ulic po raz pierwszy pojawiło się w 1856 roku. Jak widać, warszawskie ulice nocą w pierwszej połowie XIX wieku to mrok i ciemność, rozświetlana najwyżej świecowymi latarkami lub pochodniami, niesionymi przez przechodniów, czy zainstalowanymi na powozach. A że bruki i chodniki były rzadkie, chodzenie w ciemności w błocie, pomieszanym z zawartością nocników, wylewanych wprost do rynsztoka, nie należało do przyjemności.

Cóż za kontrast z dzisiejszą iluminacją higienicznych i estetycznych deptaków!

Skoro głównym źródłem sztucznego światła była świeca (w mniejszym stopniu kaganki olejowe i pochodnie), to zadajemy sobie pytanie: jak wyglądało życie domowe po zmroku? Jak czytano, haftowano, grano w karty, uczono się (lekcje w pensjach i szkołach kończyły się o 18-tej)? Jak poruszano się po ulicach – przecież życie nocne kwitło, gospody i szynki działały, ludzie się odwiedzali wzajemnie... Czyżby wszystko odbywało się przy świecach? A jednak

z lektury ówczesnej prasy co rusz dowiadujemy się o iluminacjach miasta, pałacu, czy domu, z jakiejś szczególnej okazji. Jakimi środkami dokonywano tej iluminacji?

„Gazeta Warszawska“ z 1809 roku donosi: W przeszły czwartek iako w dzień Imienin N[ajjaśniejszego] Króla P[ana] N[aszego] M[iłościwego] odprawilo się w tutejszym kościele Katedralnym S. Jana przy paradzie woyskowej o godz. 11tey zrana uroczyste nabożeństwo, na którym znaydowały się wszystkie Władze Rządowe, tak cywilne iako i woyskowe. Wieczorem całe miasto było oświecone, a na teatrze narodowym przy illuminacyi onegoż i zawieszeniu stosownego transparentu śpiewane były na pochwałę N. Pana piosnki, które z powszechnemi oklaskami przyjęte zostały.

Uroczystości organizowano w hucznym, panegirycznym-propagandowym stylu, szczególnie na cześć Napoleona. W Siedlcach na przykład: Huk dział powitał dzień wczorayszy głosząc mieszkańcom uroczystość założenia Złotego Orła, co wiodąc Bohatyrów rotę po zdumionej Europie, wzniósł się nad nasze siedziby,[...] Wieczorem całe miasto zostało oświecone, szczególnie gmachy publiczne rześistym ogniem iaśniały; na kopule ratusza wznosiła się litera N. [...] Na domach także prywatnych różne były umieszczone transparenta z napisami [...]. Starozakonni obchodzili z uroczystością dzień tak świetny [...] wystawili bramę, którą również, iak i szkołę swoją rześistym światłem przyozdobili. Po obeyrzeniu illuminacyi, obywatele i woyskowi zgromadzili się na bal, na którym przeszło 300 osób się znaydowało, a panująca na nim wesołość przedłużyła go aż do dnia białego.

Bywały też doniesienia filozoficzne. W tym samym roku „Gazeta“ doniosła następującą anegdotkę: Rzecz o illuminacyi przypomina mi starą Komedję pod tytułem: „Arlekin z kamieniem dotknięcia“. Arlekin za pomocą tego kamienia mógł przymusić każdego, kogo spotkał, do powiedzenia prawdy. Gdy razu iednego przybył do Paryża podczas wielkich uciech, spytał iednego Paryżanina, z iakiego powodu miasto oświecone? Paryżanin zabierał się do dania obojętnej odpowiedzi, w tym Arlekin dotknął go swoim kamieniem, i zaraz powiedział

Paryżanin, iż oświecono miasto dla utrzymania ludu w ciemności... Jak widać, już wówczas zdawano sobie sprawę, że wielkie spektakle publiczne mogły służyć władzy do ogłupiania narodu i odwracania jego uwagi od rzeczywistych problemów społecznych. Przecież już ludowi rzymskiemu do szczęścia wystarczyło wołanie „Chleba i igrzysk!”

Trudno dziś wyjaśnić wszystkie techniczne szczegóły ówczesnych tak „rzęсистych“ iluminacji, szczególnie tych zewnętrznych, jednak musiały to być na tamte czasy imponujące widowiska. Niekiedy były one połączone z publicznym zagrożeniem, czy wręcz katastrofą, przypominającą dzisiejsze tragiczne pożary dyskotek (po dwustu latach bezmyślność ludzka bynajmniej nie zmalała). Oto list do „Gazety Warszawskiej“ z 1810 r., opisujący wydarzenie w pałacu Posła Austriackiego w Paryżu: Wystaw sobie wielką i obszerną salę, w której bez tłoku mieścić się mogło 1200 osób. Sala ta, lubo drewniana, nader przepysznie ozdobiona była. Festony i girlandy z gazy i muslinu poprzypinane były. Wielka liczba zwierciadeł pierwszej wielkości i 73 żyrandol na suficie zawieszonych, każda o 40-tu świecach, nie rachując mnóstwa luster na ścianach między zwierciadłami założonych, niezmiernie powiększała okazałość. Dotąd jeszcze wiedzieć nie można, czy przypadkowym lub innym sposobem lustro za nadto blisko girland zawieszone zapaliło przyozdobienia pomalowane pokostem z spirytusu winnego; a że cały sufit ceratą powleczone, takimże pokostem był napuszczony, ztąd poszło, że w mgnieniu oka cała sala w ogniu stanęła. Nayprzód uwiadomiono o niebezpieczeństwie Cesarza, który ledwie z Cesarzową wyszedł z sali, gdy straszny tłok powstał. ponieważ wszyscy się ku wychodom rzucili, a tych tylko trzy było. Wystaw sobie przelęknienie, strach i rozpacz dam. gdy wołano: Niech się ratuje, kto może! Tłoczono się, pchano, nogami deptano. Żyrandole pospadały jedna po drugiej na ludzi; sufit zleciał w kilku miejscach, palące się belki i łąty padały na Panów i Damy, które przeraźliwe krzyki wydawały. Paradne zwierciadła i lustra kryształowe pękały od gorącości jedno po drugim, i to z takim hukiem, iak gdyby z pistoletu strzelano. Xiążę Kurakin Poseł Rossyiski, Pan bardzo otyły, przywalony od spadającej żyrandoli, która mu rękę złamała, od



mnóstwa uciekających nogami podeptanym został. Wiele Dam takież los miało; inne strasznie się opaliły, a największa ich część miała suknie z gazy i koronek na sobie spalone lub podarte, tak, że prawie nagie do ogrodu Posła uciekły i po altanach się chroniły. Drugie damy spostrzegłszy otwór w ścianie, rzuciły się do niego chcąc się tamtędy ratować; ale przytłoczone mnóstwem pchających się do tegoż otworu, gdy dalszego wychodu nie znalazły, spaliły się lub podusiły. Nigdy dokładnie nie będzie można wiedzieć, wiele osób zginęło.

Czytelnicy „Gazety Warszawskiej” miewali okazję przeczytać inne wstrząsające relacje, dające wiele do myślenia dzisiejszym badaczom praw kobiet czy obyczajów Wschodu (w tym przypadku – Indii):

List z Travancore pod d. 4 Marca przytacza następujące okropne zdarzenie: W jednej małej twierdzy na górze dało się uczuć nocą trzęsienie ziemi, które kilka domów obaliło, i teżyż chwili wszczął się pożar. który taką trwogę między mieszkańcami sprawił, iż wielu na pole pouciekało. Było między nimi kilkanaście kobiet, które w pierwszym przestachu napółnagie z seraiu miejscowego rządcy uciekły. Ulitowani nad nimi mieszkańcy, przyjęli je do domów swoich, a nazajutrz do twierdzy odprowadzili. Tylko co do niej weszły, zazdrosny ich tyran kazał ośmiu z nich głowy poucinać pod pozorem, iż dały widzieć swe twarze mężczyznom, a pięciu odprowadzającym je kazał oczy wyłupić, że się na nie spoglądać ważyli.

W latach następnych prasa donosiła o wielu podobnych wydarzeniach, choć większość miała raczej uroczysto-radosny charakter. I tu dochodzimy do patrona naszej rubryki: Fryderyk Chopin, który urodził się w 1810 (lub w 1809) roku, niebawem zaczął przecież bywać na mieście i oglądać zdumionymi oczami dziecka te wspaniałe pokazy świetlne. Tym bardziej że mieszkał na drugim piętrze Pałacu Saskiego, z oknami wychodzącymi na Plac, a więc w samym sercu miasta. Pałac Saski, naonczas siedziba Liceum Warszawskiego, była najwspanialszym obiektem stolicy Księstwa Warszawskiego. Jego twórca, król saski i polski August II, miał ambicję stworzyć sobie siedzibę, pięknem dorównującą Wersalowi! Gdy więc iluminowano miasto, Pałac Saski musiał być oświetlany szczególnie.

Rodzina Chopinów została po siedmiu latach przeniesiona, wraz z Liceum, do Pałacu Kazimierzowskiego. Nie mamy żadnych rodzinnych wspomnień z tego okresu, jednak nietrudno wyobrazić sobie, jak wielkim przeżyciem dla paroletniego dziecka musiały być wieczorne widoki iluminowanej Warszawy!

Szkoda, że niewiele pozostało świadectw stosunku Chopina do sztuk wizualnych, które pozwoliłyby ocenić stopień jego fascynacji, a zatem i wrażliwość na piękno oglądanych zjawisk. Może okazałoby się, że wrażliwość na piękno wizualne, na plastyczną potęgę światła, tak fundamentalna np. w malarstwie, dałaby się przenieść na jego wrażliwość artystyczną W OGÓLE? A więc i na jego świat muzyki... Świetnym, ale i praktycznie jedynym świadectwem są zapiski George Sand na temat rozmów Chopina z jednym z najbliższych jego przyjaciół, znakomitym malarzem Eugeniuszem Delacroix. Wynika z nich nierówny stosunek obu artystów do uprawianych dziedzin sztuki. O ile Delacroix wczuwał się, rozumiał i kochał muzykę, o tyle Chopina niezbyt interesowało malarstwo, a rzeźba wręcz napawała go przerażeniem. Żył jedynie w świecie dźwięków. Jednak gdy Delacroix wyłożył młodemu Maurycemu Sandowi istotę wzajemnej zależności kolorów, oddziaływanie jednych w sąsiedztwie drugich, i dla jasności wywodu przeniósł to na relacje między dźwiękami – Chopin, wstrząśnięty tym wywodem, doznał jakby olśnienia, oświecenia bądź iluminacji i wpadłszy w rodzaj transu, usiłował przenieść zasłyszane relacje na klawisze fortepianu... Znakomicie syntetyzuje ten problem Juliusz Starzyński w swojej książce O romantycznej syntezie sztuk. Delacroix, Chopin, Baudelaire (PIW 1965).

Na tym wyczerpuje się iluminacja autora, więc gaszę lux, lumen i komputer...

PM

czas na
CZAS
DLA NAS



po 4 ZDJĘCIE

Ho ho ho! To dopiero hasło! Powiedziałam do siebie i rozejrzałam się trochę bezradnie po pokoju. Światło? Zdobienie? Objawienie? Inspiracja? Olśnienie! To jest TO o czym napiszę, bo bezbarwna, powtarzalna codzienność zakrywa nam oczy jakąś szarą płachtą. Brak nam radości drobnych chwil, szczęścia kolorowego świata.

Aby zrobić dobre zdjęcie należy mieć dobry aparat – fałsz! Aby zrobić dobre zdjęcie trzeba zrobić dobre zdjęcie – prawda. Kiedy ktoś mnie pyta jak udało mi się zrobić taką ładną fotkę, odpowiadam, że po prostu tam byłam i widziałam, i pstryknęłam. To proste, ale trzeba wiedzieć i widzieć. Wiedzieć trochę o aparacie, którego używamy, żeby uchwycić to, co nas zachwycało. A najważniejsze: trzeba patrzeć i widzieć.

Kiedy biorę do ręki aparat fotograficzny wiem, co chciałabym ujrzeć na gotowej fotografii. Uwielbiam robić zdjęcia dziwne, inne, zauważyć coś nieoczekiwanego, jakiś drobiazg, szczegół bez wartości i znaczenia, a jednak piękny w swej osobliwości. Fascynuje mnie dawna wielkość, historia zatrzymana w detalu, wspomnienie bogactwa, zapomniany skarb dawno minionych lat. Kiedy przeglądam gotowe już zdjęcia, na których jest to COŚ, zastanawia mnie nieopowiedziana historia. Ktoś to zrobił, ktoś tego używał, ktoś odnowił, pomalował, a ktoś zaniedbał i zostawił na wieczne zapomnienie.

Takie zdjęcia są łatwe, każdy może je robić. Chętnie odpowiadam na pytania znajomych i przyjaciół, dzielę się swoją wiedzą. Dziś, gdy prawie wszyscy mamy w kieszeni aparat (w komórce!), można dokumentować to, co się nam spodoba.

Robię też inne zdjęcia, zdjęcia chwili. Moment, który jest niezwykły, zachwycający, jedyny w swoim rodzaju. Magię sekundy, nie minuty nawet. Niektórzy mogliby nazwać to intuicją, dobrym okiem, olśnieniem, iluminacją wręcz. Tego nie można się nauczyć, chociaż można próbować to w sobie odnaleźć. Mówią mi: nie każdy może być artystą. Zachnę się: artystą! Każdy widzi, nie każdy zobaczy, a dlaczego? Bo patrzy, ale nie zauważa.

Fotografia jest rodzajem sztuki, która jest dostępna dla każdego. Podczas spaceru, przejażdżki rowerowej, podróży samochodem może trafić się moment, który olśni swą urodą, albo brzydotą wartą uwagi. Możemy o nim opowiedzieć, możemy uchwycić jego ulotną wartość zdjęciem. I poddać się tej chwili, olśnieniu, iluminacji.

I na zakończenie, ale nie na koniec – iluminacja zdarza się częściej niż myślicie, tylko nie zawsze oświecany o tym wie. A na koniec. Nie wiem dlaczego, ale hasło, które podrzuciła mi Kasia, wywołało takie oto skojarzenie: „Ciemność, widzę ciemność, ciemność widzę!”. Nieodgadnionymi drogami chadza nasza nieograniczona niczym wyobraźnia. A jak wyobraźnia, to natychmiast przyszło mi do głowy, że niektórym trzeba uświadomić, że ją mają.

Grażyna A. Rogala

Sport?...

to nie dla mnie.

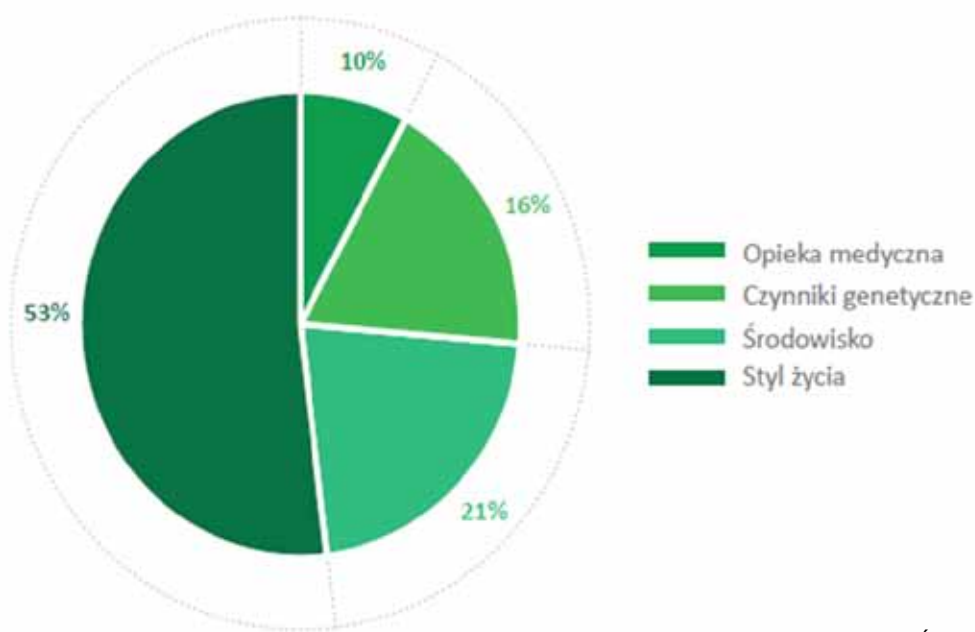
Katarzyna Tadeusiak-Jeznach



Koncepcja „pól zdrowia”, nazywana często również koncepcją obszarów zdrowia, opisuje 4 czynniki, którym przypisujemy wpływ na stan zdrowia ludzi.



Obszary zdrowia wg. Lalonde'a



Wykres: Źródła własne

Krótko o tym, że nie jest kwestią wiary a statystyki prawda życiowa o tym, że jesteśmy kowalami własnego losu.

Niechętnie poświęcam czas na sport, a wysiłek fizyczny to kwestia, której zdecydowanie unikam (poświęcając się w czasie wolnym czytelnictwu i sztuce – w moim przypadku śpiewaniu). Długotrwałe i regularne ćwiczenia to nuda. O ile ciekawszą sprawą jest rozmowa, spotkanie ze znajomymi. I niech mi proszę nikt nie mówi, że w czasie ćwiczeń wydzielają się endorfiny lub inne substancje „szczęścia”. Mi się nigdy nic nie wydzielilo. Żadnego szczęścia i przyjemności nie doznałam w czasie ćwiczeń. Na dodatek nie cierpię wprost tego uczucia rozgrzania ciała, podwyższenia pulsu, rumieńców z wysiłku i potu, który towarzyszy wymienionym tu reakcjom organizmu. Nie, nie i po raz trzeci nie, nikt mnie nie przekona, że sport daje przyjemność, w moim przypadku to nie działa.

A jednak jest ktoś, a być może też coś, co spowodowało, że kilka lat temu tak koło 40-ki zmieniałam zdanie i w efekcie znacznie więcej czasu poświęcam dziś na zajęcia rekreacyjne niż kiedykolwiek wcześniej.

Pierwsze sygnały, że o czymś w życiu zapomniałam, że coś ważnego dla mnie pomijam powiedział mi mój brzuch, a właściwie on dał znak, a powiedziała ni lekarka. Kilka wizyt u gastrologów i lekarzy innych specjalności zaowocowało diagnozą. Dowiedziałam się, że mam

„leniwe jelita” (i że to dość popularna przypadłość), czyli, że ich naturalny ruch jest zaburzony oraz, że wszystkie problemy z bólem, ze spowolnieniem przemiany materii (w tym też moja lekka nadwaga) są właśnie tym spowodowane. Po takiej diagnozie dostałam jedno zalecenie – „musi się pani więcej ruszać”. O nie! Pomyślałam sobie wtedy - czyli wraca jak bumerang temat wysiłku fizycznego i zajęć w stylu sport. A może są jakieś leki – zapytałam i usłyszałam, że i owszem są, ale że w szerszym kontekście to ruch jest „lepiej przyswajalny przez organizm” i że też na inne dolegliwości pomaga. A leki to tylko tak objawowo, a problem „nieruchliwych” jelit zostaje. Generalnie lekarka zaleciła mi ruch jako lekarstwo na wszystkie możliwe niedomagania kobiety po 40-ce.

No cóż... co robić? Zastanowiłam się ile to ruchu zabrakło w moim codziennym życiu i jakie minimum wystarczy, aby organizm funkcjonował poprawnie.

Poszłam po poradę do specjalisty czyli do wykładowczyni Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego profesor Ewy Kozdroń. Osoby niezwykle otwartej, propagatorki aktywności fizycznej wśród osób dojrzałych i seniorów, założycielki na AWF Uniwersytetu III Wieku, gdzie kwestię aktywności ruchowej w starszym wieku uczyniła przewodnim tematem większości zajęć dla seniorów. Profesor zaleca umiarkowaną aktywność ruchową 2 razy w tygodniu po 30 minut oraz codzienną 10 minutową gimnastykę (ale to są zalecenia dla osób po 60-tce),

natomiast dla tych młodszych wymagania są większe.

Gdy zapytałam ją, jaki sport, jaki ruch – czy może mi doradzić na jakie zięcia fitness mam się zapisać w pobliskim klubie, usłyszałam że każdy rozsądny ruch w granicach naszej wydolności jest dobry. Czyli bez szaleństw, nie muszę biegać 3 razy w tygodniu na zumbę, aerobik czy squocha. Profesor zaleca natomiast uprawianie, jeśli to możliwe, regularnie tzw. sportów całego życia, które są proste, powtarzalne i angażujące duże partie mięśniowe. Są to:

- ▶ marsz
- ▶ jazda na rowerze
- ▶ pływanie
- ▶ taniec
- ▶ biegi na nartach
- ▶ gimnastyka.

Całe szczęście dla mnie - na rowerze jeżdżę od lat, umiem pływać i tańczę bez przymusu. Maszeruję chętnie na wycieczki turystycznie, chociaż ostatnio rzadko. I właśnie to jest cała prawda o braku ruchu, nawet jeśli się ruszamy, to tylko od czasu do czasu. Brak regularności, brak czasu, decydowanie się na samochód gdy można podjechać na rowerze lub iść na piechotę, to popełniane najczęściej błędy. Znajdujemy czas na wiele innych aktywności, w pierwszej kolejności na pracę, potem na bierny odpoczynek przed TV lub komputerem, czynności domowo-obługowe oraz transport praca-dom-szkola, też zajmują nam czas. Szczęśliwi ci, których rodzice pokazali, że sport, aktywność rekreacyjna to styl życia,

to grupa ludzi, którzy mają już nawyk i wykształconą świadomość i potrzebę ruchu. Ja niestety do nich nie należę i musiałam przekonać siebie na poziomie logicznej ARGUMENTACJI (najlepiej popartej STATYSTYKAMI), że moje ciało ma potrzeby i że ich nie zaspokajam. I w sukurs przyszła wiedza, a dokładnie pewna teoria (sprawdzona jak wiem przez lata statystycznie) KONCEPCJA PÓL ZDROWIA. Jej autor lekarz – Marc Lalonde - opisał kilka aspektów życia, które mają bezpośredni i silny wpływ na nasze zdrowie. Bardzo mnie zaskoczył ten katalog czynników, którym przypisujemy wpływ na stan naszego organizmu i samopoczucia. Ich kolejność i siła wpływu w modyfikowanie stanu naszego zdrowia były dla mnie odkryciem i zaskoczeniem. Poniżej rysunek przedstawia podział na skali 100% wpływ 4 obszarów na stan zdrowia.

Czy ten wykres coś wam mówi? Czy do was przemawia? Do mnie bardzo. To, że aż w połowie stan zdrowia zależy od nas samych to jest bardzo istotna informacja. Mnie ona zmotywowała do działania na rzecz ochrony własnego zdrowia. No bo te 10% wsparcia lekarskiego i 16% zasobów genetycznych to jest całkiem niewiele. Dane o wpływie środowiska utwierdzają mnie do zachowań proekologicznych i zaangażowania w różne działania na rzecz zrównoważonego rozwoju. Ale to już raczej z myślą o dzieciach i ich dzieciach, bo na aktualny stan środowiska, w którym żyję wpływ mam niewielki,

chyba że zdecyduję się na emigrację w obszary globu, gdzie powietrze, woda i żywność są czyste - w sumie nawet Arktyka jest już zanieczyszczona więc ucieczki nie ma.

Podsumowując. Od czasu, gdy wzięłam sobie do serca zalecenia lekarki i profesorki, zaszła duża zmiana w jakości mojego życia. Powoli zmieniam styl życia, włączając coraz więcej zajęć związanych z ruchem. Zaczęłam grać w krokieta (proszę nie mylić z krykietem bo to inna gra) i zachęcać sąsiadów, znajomych i rodzinę oraz uczyć innych tej rekreacyjnej gry. <http://www.sportowoizdrowo.pl/graw-krykiet/> oraz <http://naszorlik.pl/baza-wiedzy/graw-krokieta>.

Znam kilka kobiet, które w okolicach 50-ki „nawróciły się” na zdrowy ruch. Nie jest to łatwe zaczynać w „pewnym wieku” i niezależnie czy mieszkamy w dużym mieście, czy w małym. Bez nawyku sportowego życia i zainteresowania jakąś określoną dyscypliną trudno jest po 40-ce zacząć ćwiczyć. W wielkomiejskich Fitness Klubach sale okupowane są przez wysportowane i bardziej lub mniej atrakcyjne 30-ki. A zajęcia aerobiku i szeregu podobnych ćwiczeń są drakońsko wyczerpujące dla początkujących. To odstrasza. Z kolei w małych miejscowościach brak jest jakiejkolwiek oferty dla kobiet. Z pewnością nie na Orlikach i nie w Klubach Sportowych. Poznałam diwe kobiety, które same rozkręciły ekipę kijkową w bardzo małym peryferyjnym miasteczku. Na początku się wstydzili, zwłaszcza że jedna z nich była zastępcą

burmistrza. Ale odważyły się i coś się stało? Nie tylko nikt się nie śmiał - ja myślę, że nikt nie śmiał się śmiać. Bo po miesiącu z dwu osób zorganizowana grupa kilkunastu kobiet chodziła przez miasteczko z kijami. Grupa rośnie i wszystkich to cieszy, a malkontenci, którzy zawsze się znajdują, niech siedzą i gniją przed nudnymi i ogłupiającymi telewizorami. Z pewnością skracając sobie życie.

A ja o wiele częściej niż kiedyś używam rower w codziennym życiu (zakupy, dojazd do pracy, do znajomych, spontaniczne wycieczki itd. oraz długie planowane eskapady po mieście i poza miastem). Znalazłam też - choć na początku myślałam, że to będzie trudne - grono kobiet gotowych na dłuższe spacery z kijami. Bo Nordic walking był dla mnie kolejnym odkryciem, a spotkania z grupą zapaleńców tej formy rekreacji na AWF w Warszawie, to kolejne zauroczenie sposobem na aktywność rekreacyjną. I to na dodatek bez potrzeby wydawania olbrzymich kwot na sprzęt, wnoszenia opłat do klubów fitness, wynajmowania osobistych trenerów itp. itd. Po prostu ruszyłam się i odnalazłam wśród znajomych (w większości sąsiadów) osoby, które tak jak ja potrzebują ruchu, są w podobnym wieku oraz odnalazłam dla siebie takie formy ruchu, które pasują do mojego dosyć nieregularnego trybu życia.

Czego i Państwu Życzę na Nowy Zdrowy Rok.

KTJ

NA ZDROWIE



Ewelina Penconek

Iluminacja to stworzenie nastroju oraz pokazanie detali, które mogą być również obecne w kuchni. Nie jest to już gra światłem, lecz kolorami i zabawa z naszą podświadomością. Mówi się, że jemy najpierw oczami, dlatego tak ważny jest wygląd dania oraz sposób jego podania. Poniżej przestawię przepisy w trochę innej wersji niż klasyczne czy ogólnie przyjęte.

Na śniadanie **OMLET BEZ JAJEK**

3-4 łyżki mąki
1/2 szklanki mleka
1 łyżka drobnych płatków owsianych
mały pomidor
1/2 cebuli
parę listków szpinaku/roszponki/rukoli (nada ostrości)
łyżka tofu/fety (wówczas nie doprawiamy masy omletowej solą)
szczypiorek
1/3-1/2 łyżeczki proszku do pieczenia
sól morska
pieprz

Mąkę należy przesiać przez sitko do miski, aby nabrała powietrza, co sprawi, że ciasto będzie lżejsze i pulchniejsze. Następnie dodajemy proszek do pieczenia i płatki owsiane. Dokładnie mieszamy, a na środku robimy dołek. Dodajemy mleko, miksujemy na wolnych obrotach bądź dokładnie mieszamy. Cebulę, pomidor, szpinak/roszponkę/rukolę kroimy i dodajemy do masy. Doprawiamy solą oraz według uznania świeżym pieprzem czarnym bądź czerwonym (nadaje specyficzny smak). Masę należy dokładnie, lecz delikatnie wymieszać, tak aby wszystkie składniki połączyły się ze sobą. Na rozgrzaną patelnię wlewamy odrobinę oliwy

lub masła klarowanego, a następnie ciasto omletowe. Smażymy na małym ogniu, a gdy spód się zarumieni, przewracamy omlet na drugą stronę. Na wierzch sypimy trochę pokrojonego w kostkę tofu lub fety oraz posiekany szczypiorek.

Na obiad **ZIELONE PLACKI BEZ MAKI**

1 szklanka ugotowanej kaszy jaglanej
4 łyżki mąki pszennej/owsianej/gryczanej/kukurydzianej
1 jajko
 $\frac{3}{4}$ szklanki wody lub mleka
garść rukoli/roszponki/natki pietruszki
śmietana 18%
sól, pieprz

Wszystkie składniki dokładnie mieszamy w blenderze, dodajemy niewielką ilość śmietany aż do uzyskania gęstej masy. Następnie masę zakrytą folią wstawiamy do lodówki na 30 minut. Patelnię smarujemy oliwą, a gdy się nagrzej nakładamy masę (1 łyżka ciasta to 1 placuszek). Placuszki smażymy na małym ogniu, gdy spód się zarumieni przierzucamy na drugą stronę. Placuszki możemy podać z jogurtem naturalnym bądź kefirem.

Smacznego!

EP



WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XXV

Marianna zarzuciła na siebie suknie. Podeszła do kotary rozwieszanej w najbardziej zaciemnionym punkcie izby. Odsunęła ją. Stała tam malutka, drewniana skrzyneczka, przykryta jednobarwną, płachtą. Kobieta delikatnie ujęła ją w dłonie. Przeniosła na stół, aby sprawdzić w lepszym świetle zawartość skrzynki. Pokłoniła się przed jej otwarciem i uchyliła wieko. Z głębi wyjęła gliniany kubek, malowany w zielone i niebieskie linie, drewniany, niezbyt prosty kij, nóż o dwu ostrzach i czarnej, drewnianej rączce, a na końcu gliniany talerz z wymalowaną na nim pięcioramienną gwiazdą. Następnie podeszła ponownie do skrytki i wyjęła z niej skórzaną sakiewkę. Zważyła ją w dłoni. Położyła na stole obok reszty przedmiotów. Podeszła do zawieszonych nad półką woreczków. Z namysłem wzięła kilka z nich. Położyła je także na stole. W płóciennej szmatce zrobiła na brzegach otwory, a następnie przewlokła

przez nie sznurek. Zanim jednak go zaciągnęła, otworzyła pierwszy woreczek i wyjęła kilka ususzonych białych kuleczek.

– Jemioło, jemioło, chroń ją w złych przygodach – położyła kuleczki na szmatce. Potem rozsuptała kolejny woreczek – ty lawendo prowadź ją dobrymi, jasnymi drogami – sypnęła szczyptę. Z kolejnego worka wyciągnęła ząbek czosnku – daj jej siłę i moc. A wy pietruszko, rumianku i szaławo, osłaniajcie ją i jednajcie z matką ziemią. Zaciągnęła sznurek. Zrobiła następnie drugą podobną paczuszkę. Kiedy skończyła, pocałowała oba woreczki.

– Niech moja miłość was nie opuszcza. Potem podeszła do wciąż śpiącego przy postaniu mężczyzny. Dotknęła jego twarzy. Zamruczał coś. Pogładziła policzek. Tak bardzo chciała go dla siebie.

– Biorg – szepnęła – obudź się. Mężczyzna uchylił niechętnie powieki.



Spojrzał i natychmiast się ocknął.

– Musisz wracać do siebie. Każ Odinie tu przyjść. Nie mam dużo czasu – zaszeptała do niego.

Podniósł się i wyszedł.

Dziękowała wszystkim sobie znanym bóstwom, że nie pytał o nic, bo nie była pewna czy mogłaby mu to wytłumaczyć. Usłyszała radosne poszczekiwanie psa. Kilka chwil później w drzwiach stanęła Odina z dzieckiem. Zdyszana. Smutna i szczęśliwa równocześnie. Przywołała córkę wzrokiem. Ta usiadła na ławie, wciąż tuląc dziecko. Bała się je odłożyć, w mocnym przekonaniu, że zaraz ktoś je zabierze.

– Co teraz będzie matko, co teraz?

– Nie mamy zbyt dużo czasu, musimy się spieszyć, źle, że dzień już wstaje, ale nie mamy wyjścia, może i teraz Pani weźmie nas pod opiekę – podniosła się. Podeszła do stołu i powiedziała:

– Pamiętasz, wiele ci mówiłam o moim bracie, który narodził się z mojej

matki, lecz z innego ojca. Mówiłam ci, że mieszka daleko stąd, tam gdzie wschodzi słońce. W mieście, które zwie się Kraków. To duże miasto, ale go znajdziesz.

– A co z tobą matko? – dziewczyna zrozumiała sens słów.

– Ja..., tu jest moje miejsce. Mam tu jeszcze coś do zrobienia – pokręciła głową – odnajdziesz mojego brata, wołają go ...

– Stańko, wiem, mam – Odina pokiwała głową. To było tak nieistotne. Nie w tej chwili.

– Robi miecze. Znajdziesz go bez trudu... Odina zagryzła wargi. Sama będzie musiała odbyć tę podróż. Chwila nadziei minęła jak błysk słońca. Matka, jakby wiedząc o czym dziewczyna myśli, podeszła do niej i przytuliła ją do siebie.

– Dasz sobie radę. Pamiętaj tylko o czym ci mówiłam. Pomagaj innym, nawet wtedy, gdy wydawać się będzie, że nie możesz pomóc. Nikomu nie



Nie
bój się
cieni

rób krzywdy, bo zło wraca trzykrotnie potężniejsze. Pamiętaj wszystko, czego cię nauczyłam...

Ponownie podeszła do stołu. Podniosła teraz sakiewkę.

– Te monety pomogą ci pokonać drogę. Jeśli nie będziesz musiała ich używać, nikomu się nie zdradzaj z ich posiadaniem. Weź ze sobą też trochę jedzenia, ale nie za dużo i moją torbę z ziołami.

– Mamo, dlaczego? Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego?

– Nie wiem, nie wiem. – Marianna podniosła teraz ze stołu pozostałe przedmioty. – Weź ze sobą jeszcze lampkę, wodę i kawałek chleba – poleciła dziewczynie.

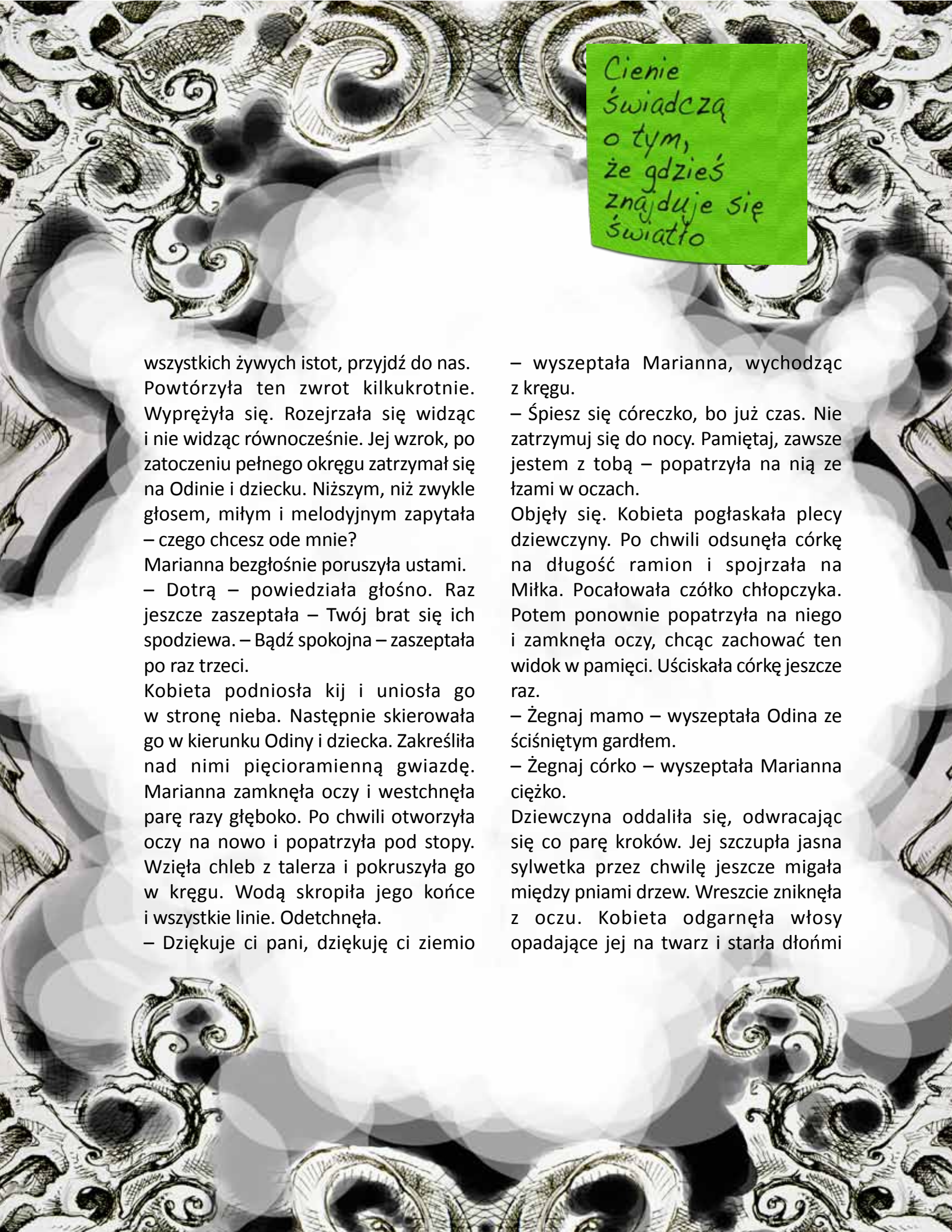
Następnie wyszła ze wszystkim przed dom. Podeszła do skraju polany. Położyła przedmioty na trawie. Nożem wyrysowała duże koło, a następnie podzieliła je na cztery części. Na przecięciu linii rozłożyła szmatkę.

W jednej części ustawiła kubek, w drugiej położyła kij. W trzeciej umieściła talerz z odrobiną chleba, a trzymany przez siebie nóż ułożyła w ostatniej ćwiartce. Na polanę wbiegł Biorg. Podeszedł do Odiny, która stała na zewnętrznej krawędzi koła. Trzymała dziecko na rękach. Miłek ciągnął matkę za włosy i uśmiechał się radośnie.

– Odejdź – poprosiła Marianna – nie powinieneś na to patrzeć.

Opierał się trochę, ale wreszcie odszedł za załom domu. Usiadł w cieniu. Oparł głowę o twarde, chropowate drewno ściany. Zamknął oczy. Był taki zmęczony. Tymczasem Marianna zrzuciła z siebie ubranie. Następnie uniosła nóż i zanurzyła go w ogniu lampki. Stojąc na szmatce zatoczyła koło w powietrzu. Odłożyła nóż na miejsce. Stanęła zwrócona twarzą na północ. Słońce było już dobrze widoczne zza drzew.

– Pani, bogini nasza, bogini ziemi, bogini urodzajów i lasów, pani opiekunko



Cienie
świadcza
o tym,
że gdzieś
znajduje się
światło

wszystkich żywych istot, przyjdź do nas. Powtórzyła ten zwrot kilkakrotnie. Wypnęła się. Rozejrzała się widząc i nie widząc równocześnie. Jej wzrok, po zatoczeniu pełnego okręgu zatrzymał się na Odinie i dziecku. Niższym, niż zwykle głosem, miłym i melodyjnym zapytała – czego chcesz ode mnie?

Marianna bezgłośnie poruszyła ustami.
– Dotrą – powiedziała głośno. Raz jeszcze zaszeptała – Twój brat się ich spodziewa. – Bądź spokojna – zaszeptała po raz trzeci.

Kobieta podniosła kij i uniosła go w stronę nieba. Następnie skierowała go w kierunku Odiny i dziecka. Zakreśliła nad nimi pięcioramienną gwiazdę. Marianna zamknęła oczy i westchnęła parę razy głęboko. Po chwili otworzyła oczy na nowo i popatrzyła pod stopy. Wzięła chleb z talerza i pokruszyła go w kręgu. Wodą skropiła jego końce i wszystkie linie. Odetchnęła.

– Dziękuję ci pani, dziękuję ci ziemio

– wyszeptała Marianna, wychodząc z kręgu.

– Śpiesz się córeczko, bo już czas. Nie zatrzymuj się do nocy. Pamiętaj, zawsze jestem z tobą – popatrzyła na nią ze łzami w oczach.

Objęły się. Kobieta pogłaskała plecy dziewczyny. Po chwili odsunęła córkę na długość ramion i spojrzała na Miłka. Pocałowała czołko chłopczyka. Potem ponownie popatrzyła na niego i zamknęła oczy, chcąc zachować ten widok w pamięci. Uściskała córkę jeszcze raz.

– Żegnaj mamó – wyszeptała Odina ze ściśniętym gardłem.

– Żegnaj córko – wyszeptała Marianna ciężko.

Dziewczyna oddaliła się, odwracając się co parę kroków. Jej szczupła jasna sylwetka przez chwilę jeszcze migotała między pniami drzew. Wreszcie zniknęła z oczu. Kobieta odgarnęła włosy opadające jej na twarz i starła dłońmi



ły. Jej historia się kończy, zaczął się czas jej Odiny. Oby tylko był szczęśliwszy niż jej życie. Westchnęła. Pomyślała przez moment. Po chwili podeszła do siedzącego za domem Biorga. Słyszając jej kroki podniósł się szybko. Rozejrzał się pośpiesznie.

– Gdzie Odina? – zapytał nie patrząc na nią.

– Odeszła do mojego brata. Będzie tam szczęśliwa – rzekła szybko i w taki sposób, jakby sama chciała w to uwierzyć.

– A ty?

– Ja... ja – rozejrzała się po zagrodzie. Spalony płot wystawał kikutami z ziemi. Dom, jak zawsze mocny i bezpieczny, stał w cieniu brzozy – tu jest moje miejsce. Muszę tu jeszcze coś zrobić. Muszę...

Spojrzał na nią i opuścił po chwili głowę:

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

Popatrzyła na jego zarośniętą szczękę. Wtuliła się w jego ramiona. Westchnęła ponownie. I rozplakała się bezsilnie.

Tuliła głowę do jego piersi. Gdyby tylko mogła wtopić się w niego i zostać z nim na zawsze. Gdyby tylko mogła. Uczucie, takie dawne, już przecież tak zatarte, wróciło do niej z całą siłą. Dlaczego właśnie teraz, kiedy nie ma na nie żadnej szansy.

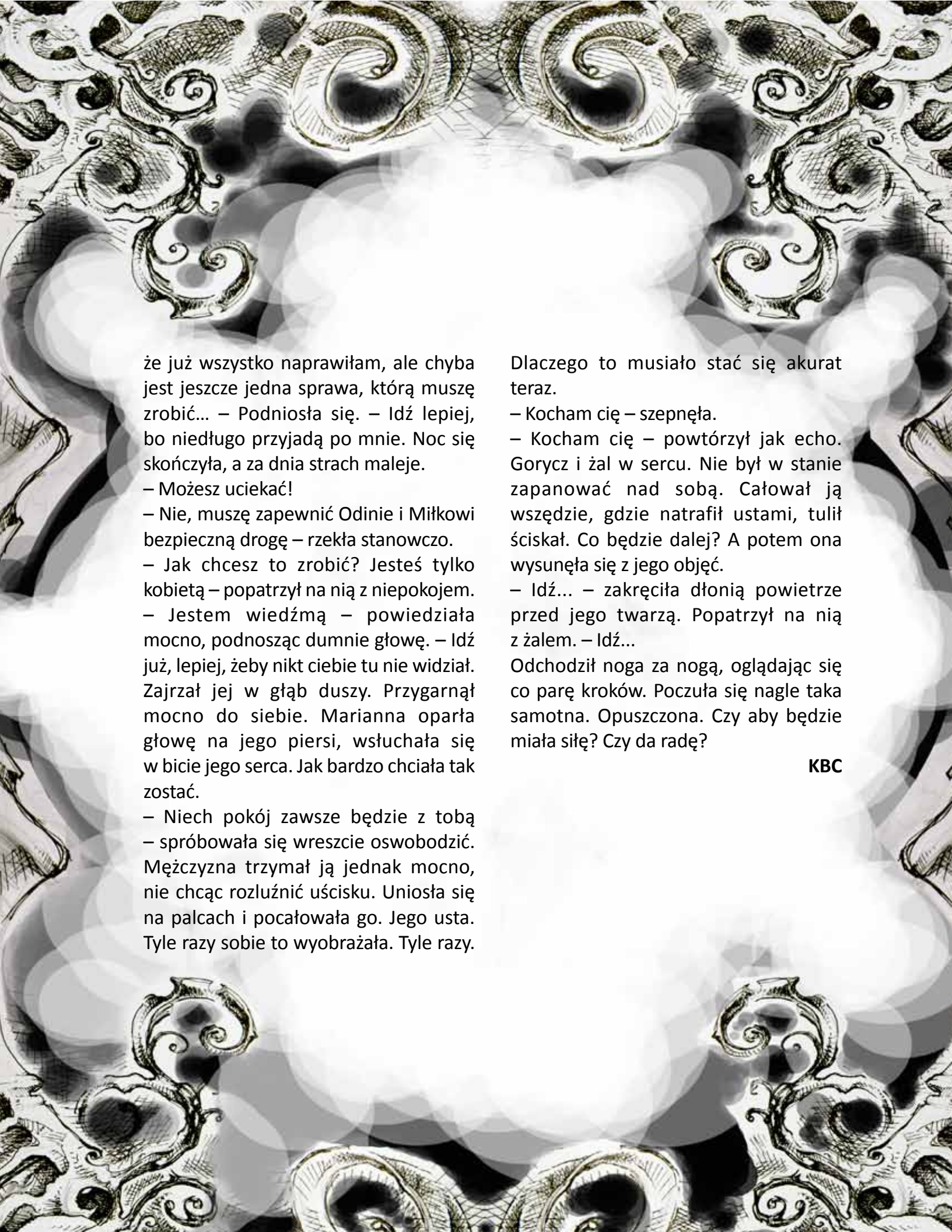
– Jesteś jedynym mężczyzną, z którym chciałabym żyć – szepnęła, unosząc głowę i spoglądając w jego oczy.

– A ojciec Odiny? – zapytał tak samo cicho.

Przez moment nie odpowiadała.

– Jej ojciec – powiedziała tak cicho, że musiał się nachylić, aby usłyszeć co mówi.

– Zabiłam jej ojca – po chwili, już głośniejszym głosem dodała Marianna – kiedy mnie wyśmiał. Porzucił. Zabiłam go... Po prostu... pchnęłam go nożem i uciekłam. Ot tak. – Westchnęła. – Byłam wtedy taka młoda i taka głupia. Myślałam, że za krzywdę, którą mi zrobił nie powinien żyć. Wiele od tego czasu przeszłam. Myślałam,



że już wszystko naprawiłam, ale chyba jest jeszcze jedna sprawa, którą muszę zrobić... – Podniosła się. – Idź lepiej, bo niedługo przyjadą po mnie. Noc się skończyła, a za dnia strach maleje.

– Możesz uciekać!

– Nie, muszę zapewnić Odinie i Miłkowi bezpieczną drogę – rzekła stanowczo.

– Jak chcesz to zrobić? Jesteś tylko kobietą – popatrzył na nią z niepokojem.

– Jestem wiedźmą – powiedziała mocno, podnosząc dumnie głowę. – Idź już, lepiej, żeby nikt ciebie tu nie widział. Zajrzał jej w głąb duszy. Przygarnął mocno do siebie. Marianna oparła głowę na jego piersi, wsłuchiwała się w bicie jego serca. Jak bardzo chciała tak zostać.

– Niech pokój zawsze będzie z tobą – spróbowała się wreszcie oswobodzić. Mężczyzna trzymał ją jednak mocno, nie chcąc rozluźnić uścisku. Uniosła się na palcach i pocałowała go. Jego usta. Tyle razy sobie to wyobrażała. Tyle razy.

Dlaczego to musiało stać się akurat teraz.

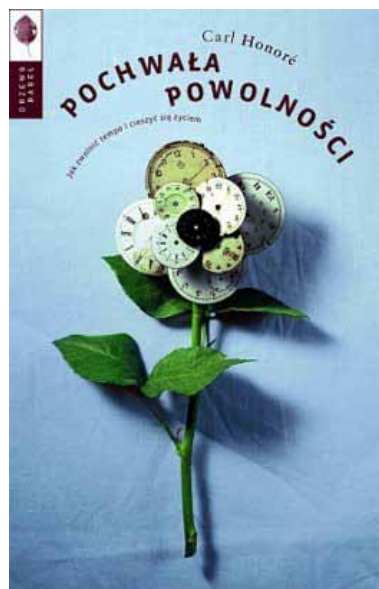
– Kocham cię – szepnęła.

– Kocham cię – powtórzył jak echo. Gorycz i żal w sercu. Nie był w stanie zapanować nad sobą. Całował ją wszędzie, gdzie natrafił ustami, tulił ściskał. Co będzie dalej? A potem ona wysunęła się z jego objęć.

– Idź... – zakręciła dłonią powietrze przed jego twarzą. Popatrzył na nią z żalem. – Idź...

Odchodził noga za nogą, oglądając się co parę kroków. Poczulią się nagle taka samotna. Opuszczona. Czy aby będzie miała siłę? Czy da radę?

KBC



WOLNIEJ NIE ZNACZY GORZEJ

Dziś jest modna powolność. Tylko że nikt tego nie nazywa dziś brakiem pośpiechu. Za to wszyscy trąbią o powolności. Co to jest ta powolność? Nic wielkiego, w sumie, i nic strasznie skomplikowanego, chociaż w dzisiejszych czasach – jednak duża rzecz. W każdym razie od pewnego czasu wszędzie ukazują się artykuły mówiące o powolności, nawołujące do niej, gloryfikujące... Nie skuszona żadnym z nich postanowiłam sięgnąć do źródła, które tę „burzę” powolnościową wywołało. Czyli do książki Carla Honore pt. „Pochwała powolności”. (O rany, jak dużo tu słowa „powolność”...) Przyznam, że spodziewałam się wykładu filozoficznego przedstawiającego słuszność wolniejszego życia. A jednak po otwarciu książki, dostałam solidną porcję realnych faktów, opowieści nt. pośpiechu, wzrostu tempa życia i tego, jak wpłynęło to na nasze życie. A do tego kilka słów (no, może więcej niż kilka) nt. błogosławionego zwolnienia.

- Autor podzielił swoją książkę na 10 części, z których 8 analizuje konkretne dziedziny życia: Jedzenie – Miasto – Ciało/Umysł – Medycyna – Seks – Praca – Czas wolny – Dzieci. Każda z tych części omawia dany temat, pokazując jak pośpiech czy też tzw. szybkie życie w tych dziedzinach wpływa na ludzi, na ich codzienność, styl życia i przede wszystkim na jakość życia.
- To nie filozoficzne bla bla bla, którym autor usiłuje skłonić nas do zmiany nawyków. To fakty, historie ludzi, którzy w pewnym momencie powiedzieli „stop” i postanowili wygospodarować trochę czasu dla siebie, swojej rodziny, pasji...
- Warto powiedzieć też, że owa powolność nie oznacza życia w żółtym tempie. Carl Honoré bardzo wyraźnie podkreśla, że szybkie tempo jest potrzebne w życiu, ale ważne jest także to, by po prostu nie dać się zwariować, kolokwialnie mówiąc. Bo tak się mówi, prawda? Zagonieni w kozi róg, gonimy w piętę, ulegamy szalowi życia i wyścigowi szczurów... Zauważyliście, że w naszym języku jest pełno takich właśnie określeń? O czym to świadczy? No właśnie o tym.

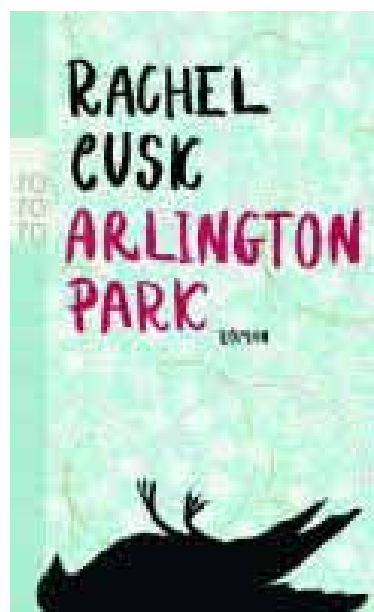
Powiedzmy sobie szczerze, nie jest to książka, po lekturze której całkowicie zmieniasz swoje życie. Ale z całą pewnością prowokuje do

myślenia, do zastanowienia się czy u mnie jest wszystko ok. Czy wpadłam w taki rytm, który powoduje, że nie mam czasu dla samej siebie. Czy mam w ciągu dnia choć chwilę (dłuższą chwilę), by się wyciszyć, pomyśleć, porozmawiać ze sobą, żeby nie zgubić siebie samej i tego kim jestem. To ważna i ciekawa książka. Bez wielkich sloganów, patetycznych słów. Prosta, zwyczajna, ale jednak ważna. I nawet jeśli na początku tego tekstu było za dużo słowa „powolność”, co mogło brzmieć trochę prześmiewczo, to zapewniam, że wcale nie było to moim zamiarem. Owszem, samo słowo jest dziwaczne i raczej nie spotkałam się z nim w naszym pięknym języku wcześniej... ale czy to ważne?

Autor nie odkrył niczego nowego pisząc, że „sekret tkwi w równowadze: zamiast robić wszystko szybciej, róbcie w odpowiednim tempie. Czasem szybko. Czasem wolno. Czasem jakoś pomiędzy”. Przecież to wiemy od dawna. Wiemy... tylko czy o tym pamiętamy?

I jeszcze kilka słów od jednej z bohaterek książki: „Kiedy w pracy człowiek przestaje sobie powtarzać ‘jedziesz, nie przestajesz’, to szybko wyzbywa się tego nastawienia we wszystkich innych sferach życia. Ma się wtedy ochotę głębiej doświadczać różnych rzeczy, a nie tylko prześlizgiwać się po powierzchni”.

I tego życzę wszystkim w Nowym Roku: znalezienia chwili dla siebie, znalezienia czasu dla swojej pasji, doświadczenia głębi, a nie tylko powierzchownego lizania życia, bo „kiedy człowiek potrafi zwolnić, życie jest po prostu lepsze” – więc niech takie będzie.



.....
Z WIZYTĄ ●
W ●
ARLINGTON ●
PARK ●

I oto zdjęłam kolejną książkę z półki oczekujących. Chyba zapragnęłam czegoś odmiennego od słodkich historii..., stąd Rachel Cusk i jej „Arlington Park”. Od razu mogę powiedzieć, że się nie zawiodłam, bo zdecydowanie nie jest to cukierkowa opowieść o kilku świetnie sobie radzących paniach domu, mieszkających w cudnej okolicy. Owszem, jest to historia kilku kobiet, owszem, radzą sobie całkiem nieźle, chociaż czy świetnie to bym polemizowała...
 To gorzka książka. To historia Juliet, Amandy, Solly, Maisie i Christine. Historia kobiet, które żyją bez radości, których codzienność nie cieszy, a raczej przytłacza. Rodzina dołuje, dzieci chwilami doprowadzają do szaleństwa, mężowie wydają się być

- zbędnym elementem i nawet idealna okolica jaką jest Arlington
 - Park nie pomaga.
 - To też odważna książka. Na półkach księgarń pełno jest
 - cudownych opowieści o szczęśliwych małżonkach, szalejących
 - z ekstazy matkach, spełniających się w wycieraniu kurzy
 - gospodyniach domowych. „Arlington Park” przeczy wszystkim
 - krzyczącym entuzjazmem życiowym bohaterkom, przeczy kurom
 - domowym tryskającym euforią... nie stawia żadnych wielkich
 - pytań, czasami wręcz śmiesz, kiedy czytamy o przekonaniu
 - bohaterek jak bardzo są porządne, bo trzy minuty dziennie
 - poświęcają na głośne wyrażenie zmartwienia głodującymi
 - dziećmi w Afryce i jak bardzo je ta myśl dołuje...
 - Coraz więcej jest książek, które odzierają życie z różowości,
 - które nie godzą się na cukierkowy lans. „Arlington Park” jest
 - jedną z takich książek – nie tylko o sprzecznych uczuciach
- wobec macierzyństwa (jak w cytowanej opinii z Entertainment Weekly), ale raczej o sprzecznych uczuciach wobec całości – życia rodzinnego, małżeństwa, domu, sensu... Oto sfrustrowane kobiety, które dopuszczają do siebie galopujące myśli i przez ułamek chwili mają chęć coś zmienić. I tak naprawdę to smutna książka, choć przyznam – doskonale napisana. Styl Rachel Cusk jest nienaganny, a każde słowo malujące okolice Arlington Park jest niemal perfekcyjne, dzięki czemu idealnie możemy sobie wyobrazić ten jeden dzień z życia bohaterek. Ale jest smutna przeraźliwie, bo niestety pokazuje poddanie się tych kobiet, jednorazowy i bardzo chwilowy zryw do walki o coś innego, o zmianę trwa zbyt krótko, by rozgościć się w ich umysłach, by zakiełkować i dorosnąć. Zduszone przez życie i właściwie przez siebie wracają w ustalone ramy, niewygodne co prawda, ale jakże atrakcyjnie opakowane, wszak nie można być nieszczęśliwym w miejscu takim jak Arlington Park.

Karolina Kapusta

• • • • •

• • • • •

• • • • •

Opowieści dziewczyn uzupełnia rozmowa z ich trenerem, Tomaszem Figlarzem, który mówi o własnych doświadczeniach życiowych i sportowych – sam

- dwukrotnie uczestniczył
- w Mistrzostwach Świata Bezdomnych jako zawodnik.
- Wie, jak piłka potrafi zmienić życie i że hasło przewodnie
- Mistrzostw („Football can change the world” – „Piłka
- może zmieniać świat”) nie jest tylko pustym sloganem.
-
- Książkę można nabyć w wielu księgarniach internetowych
- oraz na Allegro.
- **Wydawnictwo Kaligrafia**
- www.wydawnictwokaligrafia.pl
-
- **O autorce:**
- Książką „Znowu w grze” debiutuje Agnieszka
- Żądło-Jadczak, dziennikarka „Dobrego Znak”
- i „Kuriera Warszawskiego”. Choć ma już w swoim
- dorobku wydany w 2009 roku zeszyt poetycki
- pt. „Ab ovo” i kilka wygranych konkursów literackich,
- opowieść o Reprezentacji Kobiet Bezdomnych to jej
- pierwsze kroki na polu twórczości prozatorskiej.



NIE BĄDŹ STATYSTYCZNY

CZYTAJ GAZETOWNIĘ



Stowarzyszenie PI-stacja

SŁOWO MIESIĄCA: **ŻYCIE**

Twoją myśl przekazemy innym

www.gazetownia.eu

www.pi-stacja.org



ILUMINACJA W CHIŃSKIM PARKU

Kaxia E. Kowalewska

Będąc po raz pierwszy w Chinach wybrałam się rano do parku przy pekińskiej Świątyni Nieba w celu ujżenia na własne oczy Chińczyków ćwiczących tam codziennie już od wczesnych godzin rannych. To, co zobaczyłam, przeszło moje wszelkie wyobrażenia.

W listopadzie około 6.30 panował jeszcze mrok, słońce dopiero różowiło się na horyzoncie, a do parku waliły tłumy. Większość okazywała w bramie stałą, zniżkową kartę wstępu (przychodzą tam codziennie, a parki w Chinach są płatne). W środku, prawie każda polanka, skwerek, każde wolne miejsce było już zaludnione ćwiczącymi. Głównie czikung i tajczi, ale nie tylko.

Niektórzy dopiero rozciągali nogi, opierając je o murek czy drzewo. To ulubiona rozgrzewka Chińczyków. Pomiędzy drzewami pływali w powietrzu pojedynczy tajczmeni, a na większych placykach ćwiczyły duże grupy, zwykle przez kogoś prowadzone. Niektórzy prowadzący wyglądali jak prawdziwi chińscy mistrzowie: długie, siwe brody, tradycyjne ubiory do tajczy. Były lekcje indywidualne i w małych grupkach. Gdzieś tam ktoś stał bez ruchu pod drzewem, wyciągając przed siebie ręce, jakby coś obejmował.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze tyle o Chinach i tradycjach chińskich, o sztukach walki i chińskiej profilaktyce zdrowotnej stosowanej regularnie (!) na co dzień.

Doznałam objawienia.

Natychmiast zapragnęłam przyłączyć się do nich i robić odtąd tak samo przez całe życie. Zabrać to ze sobą do Polski, rozpowszechniać cudowny chiński zwyczaj. Myślę, że właśnie w tamtym momencie pokochałam Chiny. Myślę też, że nie ja jedna tak zareagowałam i dzięki temu polskie parki w sezonie letnim też powoli zaludniają się ćwiczącymi. Może jeszcze nie o wschodzie słońca i nie codziennie, ale z roku na rok jest nas coraz więcej.

Co można spotkać w chińskim parku? Prawie wszystko. Chiński park to miejsce zjawiskowe, to uczta dla ducha i ciała.

Po pierwsze, park sam w sobie jest urzeczywistnieniem idealnego piękna. Architektura krajobrazu w Chinach sięgnęła wyżyn kunsztu artystycznego. Każdy krok przynosi kolejne, fascynujące widoki, wyczelowane i dopieszczane, a jednocześnie przyjazne ludziom. To nie są miejsca tylko do oglądania, lecz do używania, do korzystania z piękna natury ułożonej ręką człowieka. Zawsze jest na czym przysiąść, a nawet położyć się, schronić przed deszczem lub słońcem. Park chiński usiany jest przepięknymi altankami, sztucznymi grotami i wodospadami, ma zaciszne kąciki do odpoczynku, czytania lub medytacji. Zwykle są tam jakieś obiekty użytkowe typu kawiarnia czy sklep. Nigdy nie ma problemu ze znalezieniem toalety. Ławek jest mnóstwo, a gdyby zabrakło, są jeszcze kamienie i trawa. No, a ludzi w parku dużo, jak wszędzie w Chinach. Dla miłośnika sztuki ogrodniczej taki park to wielka frajda – mogą go zwiedzać godzinami, podpatrując co przedniejsze pomysły i fotografując co się da.

Druga rzecz, która nieodmiennie mnie zachwyca, to architektura budynków parkowych. Stare, czy nowe – zawsze w stylu chińskim. Chińskie dachy, malowane ściany i stropy, rzeźby i drobne ornamenty – orgia kształtów i kolorów, radość dla oczu i duszy.

Jednak najbardziej poruszyło moim jestestwem to, co w parku robią Chińczycy. Chyba łatwiej byłoby wyliczyć, czego nie robią, ale spróbuję.

Gimnastykują się na wszelkie sposoby. Można obejrzeć przeróżne formy czikungu, tajczy, kung fu – formy ręczne, z wachlarzem, mieczem, szablą, kijem i inną bronią, specjalną gimnastykę dla seniorów, tańce grupowe i w parach przy muzyce z magnetofonu lub megafonu; oglądałam nawet panie trenujące taniec brzucha. Grają w chińską „miękką piłeczkę tajczy”, badmintona, krykieta, bilard i madżonga. Ćwiczą jogę na macie na środku zwirowanej alejki. Kopią „zośkę” i uprawiają wiele innych zajęć ruchowych. Mają też wszędzie przyrządy do gimnastyki, które ostatnio zaczynają się pojawiać i w polskich parkach.

Biegają, chodzą do tyłu. Spacerują po ścieżkach z drobnych kamyczków, masując punkty refleksyjne stóp, robią sobie nawzajem masaż.

Uprawiają różne hobby na powietrzu: grają na instrumentach, śpiewają, recytują; wspólnie haftują lub dziergają, uprawiają kaligrafię chodnikową (wielkim pędzlem piszą wodą poezję, które po chwili wysychają, wyrażając w ten sposób ulotność życia).

Przytulają się do drzew i medytują pod nimi. Wyprowadzają na spacer ptaki w klatkach. Relaksują się na hamaku.

I doprawdy nie pojmuję, na czym to polega, może to tylko sugestia, ale żeby nie wiem jaki smog i nie wiem jaki hałas panował w mieście, po wejściu do parku czujesz, że wdychasz czyste powietrze, słyszysz przepiękne ptasie świergoty i natychmiast ogarnia cię miły, relaksujący nastrój. Cóż, podobno miłość jest ślepa.

Mimo to obstaję przy tezie, że parki chińskie to miejsca zaczarowane.

Wtedy, pierwszego dnia, od razu zapytałam, czy mogę się przyłączyć do grupy ćwiczących. A tu niespodzianka: Chińczyk, słysząc, jak rozmawiam z moją towarzyszką, zagadał do nas łamaną polszczyzną. Okazało się, że spory kawał czasu spędził w naszym kraju. To był bardzo dobry znak! Popróbowałam z nimi tajczi, czikungu, pograłam w chińską piłeczkę. Potem, podczas kolejnych wizyt w Chinach, kiedy tylko mogłam, biegłam z rana do najbliższego parku i wykorzystywałam jego dobrodziejstwa na maksa. Podglądałam Chińczyków, uczyłam się od nich, trenowałam poznane formy sztuk walki.

Chiński park stał się moją życiową inspiracją. Moją osobistą iluminacją.

KEK



Sonet płonący

Anna Błachucka

Kelner oniemiał. Młoda para z lewej
- zastygła. Słowa dostały skalnego
milczenia. Co się dziać ma, nikt nie wie.
Ziemiński rachunek nie obejmie tego,

co los przyrzadził i do małej czarnej
dyskretnie podał wcześniej wypatrzonym
istotom. Ten stan nie dla nich stworzony.

Strach obserwować. Nie zdążyły dłonie
zbliżyć się ani wybrać oddalenia.
Coś podobnego ! Niepalna myśl płonie

ogniem - syconym tych dwojga - cierpieniem.
Coś we mnie przeciw jest całopaleniu.
Coś we mnie jest „za” przy takim scaleniu.



Tomasz Olbiński



Ciepło, zimno

Paweł Radźko



Zima kojarzy się z zimnem, to żadne odkrycie. Ale większości z nas zimno doskwiera jedynie momentami, gdy są poza domem czy mieszkaniem. Lecz są przecież i tacy, którzy z zimnem dosłownie walczą. Nie chodzi mi o żołnierzy spod Moskwy, pogrzebanych w lodowym grobowcu ani o polarnych odkrywców. Każdego dnia w naszych miastach, mniej chwalebnie, ale nie mniej zaciekle ludzie pozbawieni domu, własnego miejsca walczą z przeszywającym nieraz na wskroś mrozem. Niektórzy z nich tracą palce przed cieplejszym okresem. Niektórzy nie doczekają wiosny.

22 grudnia na krakowskim Rynku odbyła się największa wigilia dla potrzebujących. Widok chwytał za serce: młodzi ludzie zrobili zakupy i dzielili się nimi z najbiedniejszymi. Zachęcali też innych do przynoszenia jedzenia lub starych, ciepłych ubrań. Jeden mężczyzna,

bezdomny, wzbudził we mnie szczególne współczucie. Był dość młody, koło trzydziestki. Był strasznie wychudzony, na co wskazywały zapadnięte policzki. Mimo dość ciepłej pogody (przynajmniej jak na świąteczny okres) sprawiał wrażenie na wychłodzonego, chyba doskwierało mu przeziębienie. Podszedł do mnie i zapytał, czy mam może bułkę albo trochę chleba. Zaprosiłem go na zupę. Podczas jedzenia zdradził, że nie jadł porządnego, ciepłego posiłku od dwóch dni. Dowiedziałem się też, że bezdomnym jest prawie od roku, po jakichś narastających długach, których nie był już w stanie spłacić. Żył przez ten rok jak święty, wyjęty z Biblii asceta. Odmawiając sobie wszystkiego oszczędza każdy grosz. Co ciekawe, niczego nie żałował, nie chciał cofnąć czasu. Twierdził, że to najcięższa próba jakiej został poddany, że wiele się przez ten ostatni rok nauczył i zaczął patrzeć na rzeczywistość w zupełnie inny sposób. Chciałby się odbić od dna i pomagać innym, którym tak jak jemu brakło szczęścia, którym może podwinęła się noga – bo każdy zasługuje na godne życie. Powiedział też, że już wie, jak niewiele potrzeba do szczęścia: ciepła woda, łóżko i „coś na ząb”. Potem rozstaliśmy się, jak gdyby nigdy nic, jakbyśmy byli umówieni na jutro. Już więcej go nie spotkałem.

Światło kojarzy się z ciepłem, to także dość oczywiste. Ale mimo tych wszystkich oświetlających Kraków albo Warszawę ozdób świątecznych są tacy, co cierpią z powodu zimna.

Ta historia ma sens o tyle, o ile widzimy w każdym człowieku cząstkę siebie, o ile potrafimy obdarzyć szacunkiem wszystkich za sam fakt człowieczeństwa i spojrzeć na nich nie przez pryzmat stereotypów, ale dojrzeć to co jest naprawdę. Jeśli się na to zdobędziemy, jeśli naprawdę czujemy w sobie jakieś drgnienie i współcierpienie, patrząc na obraz Kathe Kollwitz „W potrzebie” i nie boimy się faktu, że tuż obok nas istnieje nieszczęście – znaczy to, że już jesteśmy lepszymi ludźmi, a na świecie jest jeszcze nadzieja.

PR



W filmie *Everything is Illuminated* pada z końcem zdanie, „Wszystko jest iluminacją w świetle przeszłości. Ona zawsze jest obok nas. Tak jak mówisz: spoglądając wewnątrz na zewnątrz.”

Zdanie to nie zostaje wypowiedziane przez głównego bohatera. Główny bohater bowiem, jest kolekcjonerem iluminacji. Dokładniej rzecz ujmując kolekcjonerem drobnych fragmentów przeszłych zdarzeń, które pieczołowicie pakowane w plastikowe woreczki z tak zwanym zapięciem strunowym umieszcza, przytwierdzając szpilką, co tu dużo mówić, na ścianie przeznaczonego specjalnie w tym celu pokoju. Tak zgrupowane zdjęcia, fragmenty jedzenia, małe kamyki, czy drobiny ziemi przypominają mu co dzień o wydarzeniach dla niego szczególnych. Bo jak sam stwierdza, robi to w obawie, że zapomni. Takie też właśnie rozumienie iluminacji jest mi chyba najbliższe. Bowiem iluminacja, jak się wydaje, wbrew jednemu ze swych wcieleń w definicję, jawi się jako pojęcie dość niejasne. W zależności więc od wyboru bliskiej nam dziedziny znaczenie iluminacji oscylować będzie gdzieś między sposobem oświetlenia a nadprzyrodzonym światłem dającym dostęp do prawd odwiecznych, czy też między średniowiecznym zdobnictwem ksiąg a olśnieniem, zwanym też okrutnie „efektem Aha!”.

Moja definicja zdaje się kraść po trosze ze wszystkich już istniejących i składać te zdobyte fragmenty w obraz, nieco na podobieństwo wspomnianej wcześniej ściany. Iluminacja jest dla mnie momentem, w którymś jakieś zdarzenie pozwala się sobą zachwycić, ot tak, w sposób zupełnie naturalny i całkowity, zespajając się ze ścianą pamięci już na dobre. W definicji tej jednak ujęte są jedynie zdarzenia na pozór błahe, swego rodzaju codzienności, które umykają zmęczonym oczom, wypatrującym odległych spraw. Zdarzenia drobne i pomijane. Takie jak choćby radość chłopca na wieść o tym, że już za moment zobaczy Wawel, wyrażona okrzykiem „Wawel! To ja wiem! Tam są wszystkie wafle!”. Albo widok rozświetlonych latarni przy Plantach powodujących wrażenie jak gdyby znajdowały się gdzieś tuż za czymś uchem, gdy spotykają się z jego półprzeźroczystym odbiciem w szybie tramwaju.

Istnienie tych i wielu innych drobnych i gasnących mimo woli chwil, których czas odmierza się mrugnięciami powiek, jest właśnie iluminacją.

MM



Od pewnego czasu wiem coś o tym

Karolina Kapusta

Od razu uprzedzam: ten tekst będzie bardzo osobisty. Jeśli więc ktoś nie ma ochoty na personalne wynurzenia, proszę nie czytać.

Nie zdradzałam tutaj ile mam lat... dość powiedzieć, że jestem z pokolenia, które zna zależność pomiędzy ołówkiem a taśmą magnetofonową (i mam nadzieję, że czytający to zdanie nie zapytają co to jest taśma magnetofonowa...). To oznacza oczywiście, że zostałam wychowana zdecydowanie inaczej niż obecne dzieci/młodzież. Dlaczego o tym piszę? Otóż dlatego, że nikt mi (nam) wtedy nie mówił, do czego mamy prawo, co możemy, że możemy wymagać, że możemy wybierać...

Nie obrażając ówczesnych (w tym moich) rodziców, czasami mam wrażenie, że prześlizgnęliśmy się przez jeden z najważniejszych okresów życia – okres dojrzewania. Niezauważenie, no może nie do końca, ale bez większego zainteresowania ze strony naszych wiecznie zajętych (inaczej niż teraz) rodziców. No dobrze, może nie wszyscy moi rówieśnicy tak mieli. Nie wrzucam mego całego pokolenia do jednego worka. Z całą pewnością tak było w moim przypadku oraz w przypadku wielu moich bliskich znajomych, co pozwala mi na pewną swobodę generalizowania.

Rozwój duchowy? Co to? Dojrzewanie wewnętrzne? Odkrywanie i rozwijanie siebie, swoich możliwości? Kto by miał czas wtedy się tym zajmować? Jakoś wyrosliśmy, trochę wychowała nas szkoła, trochę podwórko, trochę różne organizacje... I jakoś poszło. Potem wkroczyliśmy w dorosłość i już. Wychowane dzieci? A jakże by inaczej.

Rysuje się dość ponury obraz, prawda? Nie było aż tak strasznie, w końcu większość z nas wyszła na ludzi... A jednak piszę ten tekst, żeby powiedzieć o kilku rzeczach. Wtłoczono nas w schematy życia, zapewne bezmyślnie trochę, bo przecież innego wyboru nie było. I schemat ten przyjął się w życiu moim, moich znajomych, bliskich i dalszych. To widać. Po prostu. Powiedziano nam, że powinniśmy to i tamto, że tak wypada, że tak trzeba i już. Nie wdawano się w długie dysputy, rozmowy i tłumaczenia. Nie mówiono „idź i odnajdź siebie”, „bądź sobą”... ba nawet do tego nie zachęcano. Kiedy tak sobie patrzę na to z perspektywy czasu, to trochę mi szkoda, że tamten czas był taki niezauważony. Nie sprawiałam rodzicom kłopotu? Cudownie. Uczyłam się wystarczająco dobrze, by nauczyciele nie zawracali im głowy? Pięknie. Wyfrunęłam z domu i usamodzielniałam się? Uff.

I nie umiem powiedzieć dokładnie jak, kiedy i dlaczego doznałam oświecenia. Nie powiem, że to było jak nagła iluminacja, która spowodowała przebudzenie i pragnienie czegoś więcej.

Nie było tak. To było raczej jak powolne dojrzewanie do tego czegoś więcej. I małe tąpnięcie w głowie, najpierw gdzieś z tyłu, potem dobitniej: mogę inaczej. To nie dla mnie. Nie chcę być ślepo posłuszna. Nie chcę nieść bagażu czyichś doświadczeń na swoich plecach. A przede wszystkim: nie muszę! Mogę myśleć o sobie. Mogę lubić siebie. Mogę rozpieszczać siebie. Mogę dbać o siebie. I niech nazywają to jak chcą. Egoizmem, samolubstwem. Mam to w nosie. To moje życie i nikt nie będzie mi mówił jak mam je przeżyć. Nie muszę targać za sobą ciężaru tego, co ktoś inny chce na mnie zrzucić. Mogę powiedzieć „nie”. Co więcej, mam do tego prawo, nawet jeśli moja odmowa kogoś zaboli.

Nie było rozbłysku w głowie. Nie było nagłego przebudzenia i okrzyku „EUREKA!”. Był powolny proces. Uczenie się siebie. Pozwalanie sobie na świadomą egzystencję. Rozszerzanie swojej „tylko” egzystencji do dojrzałego bycia. Długi, powolny proces.

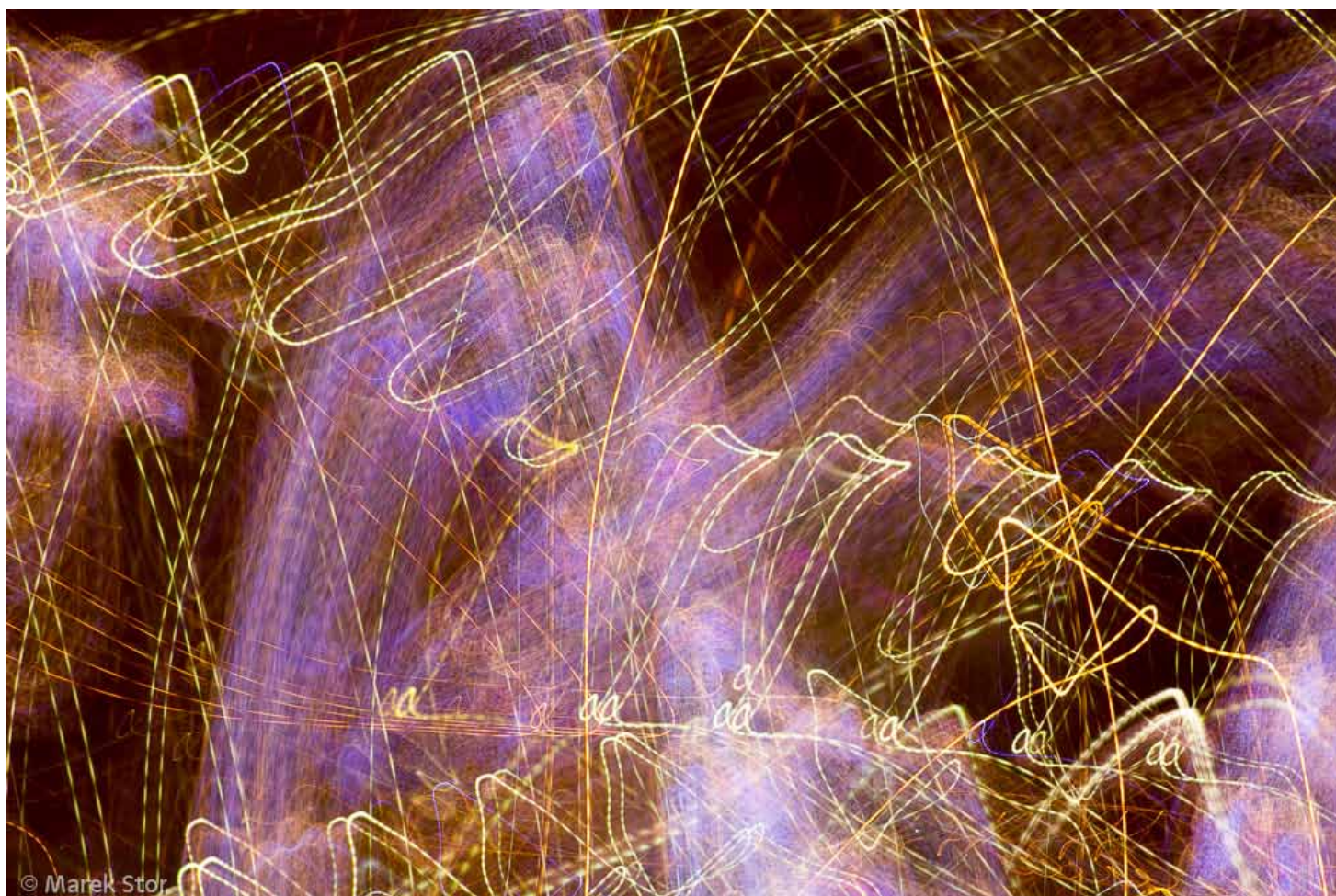
I tak oto jestem tym, kim jestem.

Nie oceniam pokolenia mojego ani moich rodziców. Tak naprawdę to kim jestem zawdzięczam właśnie moim rodzicom. Temu, że byli dobrzy, wyrozumiali, trochę wymagający (na swój sposób). Że kochali mnie (i kochają nadal) tak jak tylko potrafią. Że mi ufali i nie niszczyli mojej osobowości, gdy zapragnęłam iść swoją drogą. Że pozwolili na to i nie wtrącali się ze swoimi pouczeniami za często, a jeśli już się to zdarzało, to potrafili przyjąć moje „nie, chcę to zrobić po swojemu”, a czasami nawet „mamo, tato, wiem lepiej!” I może ich to bolało, może ich boli nadal. Ale dają mi tę wolność... I za to dziękuję. Bo bycie rodzicem to trudna sztuka. Od pewnego czasu wiem coś o tym.

KK



MIGAWKOWY NOCNY SPACER





Marek Stor

grafik, fotograf, podróżnik

Fotografuje amatorsko od 2003 roku, ale ostatnio coraz częściej wykorzystuje aparat w pracy zawodowej. Najbardziej pociąga go fotografia reportażowa i podróżnicza.

Częstym tematem zdjęć jest rodzina, własne psy, znajomi, najbliższe otoczenie.

Zapytany, dlaczego fotografuje, odpowiada: - Bo lubię, sprawia mi to przyjemność i jest odpoczynkiem od problemów dnia codziennego.

Autor fotograficzno - podróżniczego cyklu na łamach legionowskiej Gazety Powiatowej pt. „Widokówki z Podróży”, organizator Światowego Spaceru Fotograficznego Scotta Kelby'ego po Legionowie w 2012 i 2013 roku, kilku wystaw i plenerów. Ostatnio coraz więcej zawodowego czasu poświęca fotografii sportowej i studyjnej.



© Marek Stor

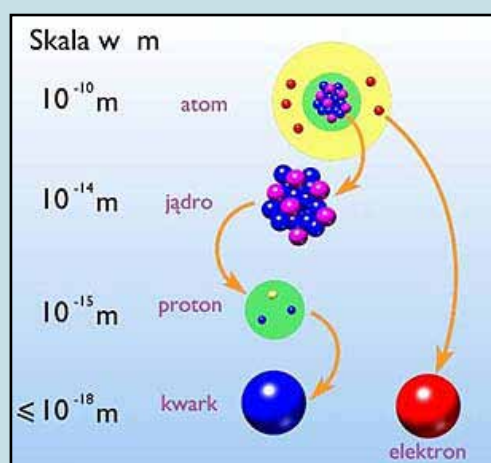




© Marek Stor

Elementarne klocki

Michał Lewandowski



Wielkość poszczególnych cząstek w atomie.

Ludzie od starożytnych czasów zastanawiali się z czego zbudowany jest świat. Pierwszym, który się za to zabrał, był filozof joński Tales z Miletu. Stwierdził, że wszystko co nas otacza składa się z wody pod różnymi postaciami – ciekłej, stałej lub gazowej. Ale co to ma wspólnego z obecnym postrzeganiem tego z czego składa się materia? Tales zapoczątkował logiczne i racjonalne opisywanie świata przyrody i zajmowanie się nią jako nauką. Z tej filozofii przyrody ponad 200 lat po Talesie, na przełomie V i IV w p.n.e. niejaki Demokryt z Abdery wymyślił, że cała materia składa się z atomów. Od greckiego átomos, czyli coś czego nie da się przeciąć albo podzielić. Idea atomów – według Demokryta – polegała na tym, że w zależności od tego jak były ułożone czy zbudowane, tak się zachowywał przedmiot. W twardych rzeczach atomy były ułożone gęsto, w miękkich luźno, słodkie przedmioty składały się z atomów okrągłych, ostre z kanciastych itp. Jednak, tak jak wszystkie teorie z tamtego okresu, był to pomysł czysto filozoficzny bez poparcia jakimikolwiek dowodami.

Wiele wieków później, w XIX wieku chemicy zaadaptowali tę nazwę do czegoś co ich zdaniem było najmniejszą i niepodzielną cegiełką, na którą składa się materia. Obecnie wiemy, że atomy zbudowane są z mniejszych kłocuszków: jądra i elektronów. Jądro natomiast składa się z protonów i neutronów, które też zbudowane są z mniejszych cząsteczek – kwarków.

Jednak nie są to wszystkie cząsteczki występujące w przyrodzie. Łączą się one w różnego rodzaju rodziny cząstek oraz odpowiadające im antycząstki, czyli najprościej, cząstki o takiej samej masie, ale przeciwnym znaku ładunku elektrycznego (to znaczy: dla elektronu mamy antyelektron o takiej samej masie, ale dodatnim ładunku) i w ten sposób wyróżniamy rodziny zawierające:

Leptony (z gr. leptós – lekki, drobny), w skład której wchodzi elektron, mion, taon oraz neutrino, odpowiednio; elektronowe, mionowe i taonowe, a także odpowiednie do nich antycząstki.

Kwarki: górny, dolny, dziwny, powabny, spodni i wierzchni, oraz odpowiadające im antykwarki.

Nośniki oddziaływań, bozony – są to cząstki, które przenoszą różnego rodzaju oddziaływania pomiędzy obiektami. Spośród nich wyróżniamy:

Fotony dla oddziaływań elektromagnetycznych (na przykład przyciąganie się magnesów)

Bozony; Z, W^+, W^- , które przenoszą oddziaływania jądrowe słabe (odpowiedzialne za rozpady atomowe)

Gluony, które przenoszą oddziaływania jądrowe silne (te, które trzymają kwarki na przykład w protonie)

Grawitony, teoretyczne cząstki które przenoszą oddziaływania grawitacyjne (czyli te trzymające nas na Ziemi)

Z tych cegiełek stworzony i zespolony jest cały nasz widoczny świat, wszystkie gwiazdy, planety, ludzie, zwierzęta, ziarnka piasku itd. Można więc powiedzieć, że wszystko i wszyscy składamy się z tego samego.

Na obecną chwilę naukowcom wydaje się, że są to cząstki, których nie można już podzielić. Jednak tak jak XIX-wieczni uczeni, którzy tak samo myśleli o atomach, tak my też możemy się mylić i może się okazać, że wszystko składa się z jeszcze mniejszych cząstek.

From the series:

My Travels

Switzerland: Ittingen

Agnieszka Thomassen



Here and Now

What is silence? Silence is lack of noise that comes from the rushing cars on the street. Silence is present where there are no problems at work or at home. Silence is in the place in which there is happiness, freedom, and peace. I find silence at the clean-as-a-crystal lake in which the fish are not swimming with their bellies up. Silence is in the fields where cows are grazing or in the forest in which we are trampling our own paths.

I closed my eyes...

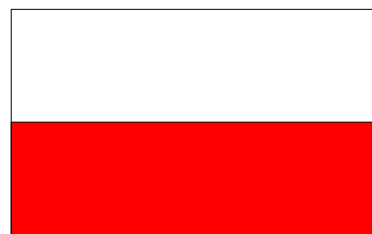
Relishing silence, while being in Ittingen, I heard tourists walking by my side and children playing Catch me if You Can game. A little girl stopped running, announcing with despair that she cannot catch up to her brother. I heard a horse neighing and manifesting his desire to go back to the open space. I heard the rustle of thousands of leaves. Humming wind was touching crowns of the trees, not forgetting to touch the smallest branches and tiny bits of grass. Each tree whispered differently. The

Z serii:

Moje Podróże

Szwajcaria: Ittingen

Agnieszka Thomassen



Tu i teraz

Czym jest cisza? Cisza jest brakiem hałasu dobiegającego z ulicy, po której pędzą samochody. Cisza jest tam, gdzie nie ma kłopotów w domu lub w pracy. Cisza jest w miejscu, w którym jest szczęście, wolność i pokój. Ciszę odnajduję nad brzegiem czystego jak kryształ jeziora, w którym ryby nie pływają „do góry brzuchem”. Cisza jest na polanie, na której pasą się krowy oraz w lesie, w którym wydeptujemy swoje własne ścieżki.

Zamknęłam oczy...

Delektując się ciszą w wiosce Ittingen, usłyszałam turystów przechodzących obok mnie oraz bawiące się w „berka” dzieci. Dziewczynka przystanęła, oznajmiając z rozpaczą, że nie może dogonić swojego brata. Usłyszałam rzenie konia w stajni, manifestującego chęć powrotu na otwarte tereny. Do moich uszu dobiegły dźwięki szelestu tysiąca liści w lesie. Szumiący wiatr ocierał się o korony drzew nie zapominając o dotknięciu najmniejszej gałązki i źdźbła trawy. Każde drzewo





small, triangular leaves vibrated fast and restlessly. The big leaves were moving slowly, resisting the wind with more force. I heard hundreds of insects buzzing in the bushes. The full of surprises forest reminded me of a Michał Bajor's song:

*Crickets are buzzing
Hornet is rumbling
An angry guy
And something is squeaking.*

I opened my eyes...

A mother took her little girl in her arms surrounding her with love as if she was encompassing a beautiful butterfly in her hands. Tens of bumblebees were pasting all over the cream-colored roses looking like the small, hairy pompons. Flying from one flower to the other, they playfully squeezed their shaggy heads into scented goblets. I was touched with their seriousness with which they devoted themselves to their work. They weren't paying any attention to me and were so focused at the task at hand, making their work the most important job in the entire universe. My mum mentioned that bumblebees are the symbol of clean environment -- that is why we do not see them in polluted places. Here and there the butterflies attached themselves to the rose petals with their thin legs, floating in the air as if moved by wind. Velvet-like butterflies created beautiful arrangements with the flowers. Their long as tubes "tongues" interchangeably unrolled and rolled back up, just like the garden hoses, multiplying their size while exuding the god's nectar. The flowers provided them with the sweetest pleasures. In the distance, in the valley, cyclists were biking like geese, one after the other, forming the colorful convoy. I sat down on the green bench, under the green, wide-stretching tree.



szumiało inaczej. Małe, trójkątne liście drgały szybko i niespokojnie. Duże liście powiewały wolno, z większą siłą opierając się podmuchowi wiatru. Słyszałam setki owadów, które tworzyły jazgot w krzakach. Las pełen niespodzianek przypominał mi piosenkę Michała Bajora:

*Brzęczą świerszcze
Dudni szerszeń
Groźny gość
I piszczy coś.*

Otworzyłam oczy...

Matka wzięła płaczącą dziewczynkę na ręce, otaczając dziecko swoją miłością jakby otaczała w swoich dłoniach pięknego motyla. Dziesiątki bąków oblepiało kremowe róże niczym małe włochate pompony. Fruwając z kwiatu na kwiat, wciskały one figlarnie swoje włochate, okrągłe łebki w pachnące kielichy. Ujęła mnie powaga z jaką poświęcały się one swojej pracy. Owady nie zwracały na mnie żadnej uwagi i były skupione na wykonywanym zadaniu jakby było to najważniejszym zadaniem w całym wszechświecie. Moja mama mówiła mi, że trzmiele są oznaką czystego środowiska, stąd rzadko je widzimy w zanieczyszczonych miejscach. Gdziekolwiek motyle przyczepiały się do płatków róż swoimi cienkimi nóżkami, unosząc się w powietrzu jakby były poruszane wiatrem. Aksamitne motyle tworzyły piękne uzupełnienie aranżacji kwiatowej. Długie jak rurki „języki” rozwijały się i związały jak węże ogrodowe, kilkakrotnie zwiększając swoją pojemność podczas spijania „napoju bogów”. Kwiaty dostarczały im samych słodkich przyjemności. W oddali, w dolinie, rowerzyści jechali „gęsiego”, tworząc kolorowy konwój. Usiadłam na zielonej ławce, pod zielonym, rozłożystym drzewem.



“The Paradise on Earth,” I sighed.

Catching a deep, cleansing breath I became one of the insects who does not care about anything but flowery bushes, the Sun, and the blue sky. I felt like running around in the fields, spreading my arms and welcoming the Sun, then falling down to the grass and feeling like a child: joyful and carefree. My dreamy, relaxing state was disturbed when I felt that something was licking my hand, touching it with a warm, hairy, and big, wet snout. I looked over my shoulder into the glare of the Sun and saw massive looking calves with huge, shaggy ears. Their wide, prominent ears reminded me of a character in the Star Wars movie, master Yoda. Beautiful, happy, almond shaped eyes of the Swiss cows were looking at me with curiosity. I had never seen this type of cows before and I was impressed with their resemblance to bulky looking deer. “The babies,” just like overgrown puppies, were coming to me, one after the other, trying to invite me to play a game. I could see in their eyes a childlike disobedience and fun from interrupting my time off in the countryside. Swiss cows are one of the oldest species of the cows in the world. The animals are very tough, do not eat much, do not require special care, and are used to the hot and cold climate. I was attracted to their magnificence and sweet character. I can watch for hours their boring life in which they constantly chew grass as if they were chewing the gum.

Genius loci-the Ghost of Ittingen

Ittingen is situated in the Thurgau canton, about 50 kilometers from the place of birth of famous psychiatrist, Carl Jung. During my trip, I wandered through the picturesque hills of looking like a rough design of evenly trimmed green grass, and strolled right next to the pricking my skin, yellow crops. The spirit of this place, genius loci, was showing off his



„Raj na ziemi”, westchnęłam...

Łapiąc głęboki, oczyszczający oddech, stałam się jednym z owadów, których nie obchodzi nic innego poza krzewami pełnymi kwiatów, słońcem i niebieskim niebem. Miałam chęć pobiegać boso po polanie, rozłożyć ręce i przywitać słońce, upaść na trawę czując się jak dziecko: radośnie i beztrudnie. Mój rozmarzony, zrelaksowany stan został zakłócony, kiedy poczułam jak coś liże moją rękę ocierając się o nią ciepłym, włochatym, mokrym i wielkim pyskiem. Odwróciłam się w kierunku rażącego mnie słońca, w świetle którego dostrzegłam masywne cielaki z wielkimi, owłosionymi uszami. Ich sterczące, obszerne uszy przypominały mi postać z filmu „Gwiezdnych Wojen” – mistrza Yodę. Piękne, radosne, migdałowe oczy krów szwajcarskich przyglądały mi się z ciekawością. Nigdy wcześniej nie widziałam tych zwierząt i byłam pod wrażeniem ich podobieństwa do wypasionych saren. „Maluchy” podchodziły jeden po drugim starając się, niczym przerośnięte szczeniaki, zaprosić mnie do jakiejś zabawy. W ich spojrzeniu widać było dziecięce nieposłuszeństwo i frajdę z przerywania mojego wypoczynku na łonie natury. Krowy szwajcarskie są jednym z najstarszych gatunków krów na świecie. Zwierzęta te są bardzo wytrzymałe, nie muszą dużo jeść, nie wymagają szczególnej pielęgnacji i są przystosowane do gorącego i zimnego klimatu. Mnie zauroczyła ich okazałość i słodkie usposobienie. Mogę godzinami obserwować ich nudne życie, w którym ciągle żują trawę jakby żuły gumę do żucia.

Genius loci – duch Ittingen

Ittingen usytuowane jest na wiejskich terenach w Kantonie Thurgau około 50 km od miejsca urodzenia słynnego psychiatry, Junga. Podczas swojej podróży, wędrowałam po malowniczych pagórkach, po równo przystrzyżonych i „odrysowanych”



wonderful, one and the only, scenery. I was following the path with the trees growing along its sides, hushing internal chaos. Mother Nature assisted me on a journey into my own self. I was hypnotized with the peacefulness and the beauty of the area. I was thinking of the old times in which we lived close to the Earth. Building the wood or stone shelters, we didn't kill just for animal fur, we were listening to the sounds of nature and living in its rhythm. Nowadays we live in concrete buildings that are surrounded with concrete slabs instead of lawns, and our children play outdoors in made out of concrete playgrounds. I am not surprised that we do not feel as being one unity with our environment if each day we are physically separated from it. Everything that our planet offers us seems to be an obvious gift that we fully deserve to have. We treat the environment as certainty – something that we can use in an unlimited way. We are not thinking about the overpopulation of the Earth that is a limited space, having limited recourses. We are not thinking about the outcome of the insects disappearing -- insects that pollinate our crops. We do not care about many species that greatly reduced their numbers, and about the air that is more and more polluted with carbon dioxide. We do not bother thinking about the waters that are becoming more and more acidified and are not suitable to drink, or about the soil that is soaked with pesticides and sterile. It is obvious to me that there is a general discouragement and surrender to the existing situation, left alone as if it was supposed to fix itself in some miraculous way. It was in 1855 that Chief Seattle (after whom the city of Washington was named), spoke with regret about the man's activities. The man, for many centuries, divides heaven and Earth with impunity, selling something that he doesn't own. Recognizing the land and the sea as his property, the man feels as the lord and master with the right to treat animals as commodity,



pasach zielonej trawy oraz obok kłującego, żółtego zboża. Duch tego miejsca „genius loci” chwalił się swoim cudownym dziełem: jedynymi w swoim rodzaju krajobrazami. Podążałam długim szlakiem, obok którego rosły drzewa, wyciszając wewnętrzny chaos. Matka Natura pomogła mi udać się w podróż wewnątrz siebie. Rozmyślałam o dawnych czasach, w których żyliśmy blisko Ziemi. Wtedy budowaliśmy szałas z drewna, gałęzi lub kamienia, nie zabijaliśmy dla samego futra, wsłuchiwałam się w głosy przyrody, żyjąc w jej tempie. Dzisiaj mieszkamy w betonowych budynkach, które są otoczone betonowymi płytami zamiast trawników, a nasze dzieci bawią się na betonowych placach zabawach. Nie dziwię się, że nie czujemy się jednym bytem z przyrodą, jeśli na co dzień jesteśmy od niej fizycznie odcięci. Wszystko co ofiarowuje nam nasza planeta wydaje się być dla nas oczywistym darem, na który w pełni zasługujemy. Środowisko naturalne traktujemy jako pewnik – coś z czego możemy bezgranicznie korzystać. Nie myślimy o przeludnieniu ziemi, która jest ograniczoną przestrzenią z ograniczonymi zasobami. Nie zastanawiamy się co się z nami stanie, jak zniknie ostatni owad, który zapyla rośliny uprawne. Nie obchodzi nas to, że wiele gatunków zwierząt zmniejszyło swoją liczebność, a powietrze jest coraz bardziej zanieczyszczone dwutlenkiem węgla. Nie mamy czasu na zaprzątanie sobie głowy tym, że wody są zakwaszone i nie nadają się do picia, a gleba jest wyjałowiona i nasiąknięta pestycydami. Rzuca się w oczy ogólne zniechęcenie tematem oraz poddanie się istniejącej sytuacji, jakby ta sama się miała w jakiś cudowny sposób naprawić. Już w 1855 roku Wódz Seattle (od którego nazwano później miasto w stanie Waszyngton) z żalem wypowiadał się na temat działalności człowieka. Człowiek, od wielu stuleci, bezkarnie dzieli niebo i ziemię na kawałki, sprzedając coś co do niego nie należy. Uznając lądy i morza za swoją własność, czuje się on jak pan i władca, który ma prawo traktować zwierzęta jak zwykły towar, trwoniąc i pochłaniając zasoby naturalne. Człowiek-





wasting and consuming natural resources. The man-locust destroys everything in his path, leaving a desert behind him. It is the time for us to realize that the planet Earth has been, and will exist long after we are gone. The truth is as simple as that: by saving the Earth we save ourselves. The Earth is stronger than us and, if we won't take care of our surroundings, our planet will, in short, get rid of us. Terra Mater will drown the world, Deucalion will not survive, and god Enki will not save anybody. We should take care of our natural environment or we should start building the ark that will save, at least some of us, from a total destruction. I wonder if there would be a righteous man of an exemplary behavior that God welcomed to a wooden boat...

Following a long, winding, indefinite path – pursuing my own conscience – I reached the field in which “small” people admired elongated vines. Plants were climbing the 4-meter-tall wooden supports, creating a tall carpet of equally aligned vines. Agriculture in Ittingen is one of the biggest in the canton. Cultivation of hop and grapes allows for beer and wine making and the Swiss cows give milk for cheese production. Enjoying the peacefulness of the area, “die grosse stille,” I was going where my eyes would take me. I reached the building complex, which was separated from its surroundings. I went through a gigantic, semicircular gate made out of stone. Entering the premises of the monastery, I saw whitened stucco buildings, made of cuboids of various heights. The buildings comprised of many parts and were covered with pointed, triangular roofs made of brown or wooden slates or evenly trimmed thatch. The settlement was distinguished by a certain harmony in its simplicity, in which every building, every chamber, utility room, church or cloister had its own importance. I was affected by the mood of this mysterious place in which the



szarańcza wyniszcza wszystko na swojej drodze, pozostawiając za sobą pustynię. Nadszedł czas zrozumienia tego, że planeta Ziemia była, jest i będzie istniała długo po nas. Kiedy ratujemy ziemię, ratujemy siebie. Ziemia jest silniejsza od nas i jeśli wkrótce nie zadamy o nasze otoczenie, nasza planeta się nas, krótko mówiąc, pozbędzie. Terra Mater zatopi świat, nie przetrwa Deukalion, nie uratuje nikogo bóg Enki. Powinniśmy już teraz zadbać o środowisko naturalne albo rozpocząć budowanie arki, która uratuje choć niektórych z nas od całkowitej zagłady. Jestem ciekawa czy znajdzie się człowiek na tyle prawy i wyróżniający się swoim zachowaniem, któremu Bóg pozwoli wejść do drewnianej łodzi...

Idąc długą, wijącą się w nieskończoność ścieżką – podążając za swoim własnym sumieniem – doszłam do polany, na której „mali” ludzie podziwiali wysokie byliny. Rośliny pięły się na podporach na wysokości 4 metrów, tworząc wysoki dywan równo ustawionych w szeregu winorośli. Agrokultura w Ittingen jest jedną z największych w kantonie. Uprawa chmielu oraz winogron pozwala na produkcję piwa i wina, a szwajcarskie krowy dostarczają mleka do produkcji serów. Delektując się spokojem okolicy: „die grosse stille”, podążałam w zamyśleniu gdzieś gdzie mnie „oczy poniosą”. Dotarłam do kompleksu budynków, które szczelnie oddzielały się od swojego zalesionego otoczenia. Przeszłam przez olbrzymią, półokrągłą bramę z kamienia. Wchodząc na teren klasztoru, ukazały się przede mną wybielone domy, zbudowane z prostopadłościanów o różnej wysokości. Składały się one z wielu części i były nakryte spiczastymi, trójkątnymi dachami z brązowej dachówki, drewna lub równo przyciętej strzechy. Osada wyróżniała się pewną harmonią w swojej prostocie, w której każdy budynek, kościół czy krużganek, każda sala i pomieszczenie gospodarcze miały swoje znaczenie. Udzielił mi się nastrój tego tajemniczego miejsca, w



monks lived completely cut off from the world in the past.

The monastery in Ittingen was built in 1150 as Augustinian monastery. In 1461 Carthusians – catholic order created by St. Bruno of Cologne – bought the cloister. After 1848 the buildings were kept in private hands for about 100 years. The monks lived in this place in very rigorous conditions, according to a carefully prepared plan. Their day was comprised of the prayer, work, and rest. A nighttime service was included in their duties and hours of sleep didn't exceed 4,5 hours a day. The monks ate all of their meals in their cells, but one meal, on Sunday that they ate together. The vow of silence allowed contemplating God in seclusion, seeking deeper devotion in solitude. Just because of ever-present silence, there was no organ in the church, and the monks sang without the accompaniment. I imagined the characters sitting on the benches made of dark, overly sculpted wood in an old church. The light beige walls and painted like in the Sistine Chapel ceilings, contrasted with the brown benches, which presented us with fearful looking angels. Extensive hoods covered the faces of men, offering them a discretion and animosity. The wide sleeves hid their folded in prayer hands. By covering up their bodies, the monks uncovered their souls.

It has been a few centuries since the monks toddled quietly in the vast convent, leaving behind the echo of their existence. Entering the building, abysmal aphonía bounced off of my ears. I heard my own footsteps stumping the very old, wooden parquet and my own breath that was reflected from the white walls. Semidarkness prevailed in the cloister, disturbed time to time with the light coming in through the clean windows. Following the indefinitely long and deserted corridors, where there was no living soul, caused my perception to change. The



którym mnisi w dawnych czasach żyli w samotności, zupełnie odcięci od świata.

Klasztor w Ittingen został wybudowany w 1150 roku jako klasztor Augustynów. W 1461 roku zakon wykupili Kartuzi – zakon katolicki założony przez św. Brunona z Kolonii. Po 1848 roku miejsce to przeszło w ręce prywatne na okres około 100 lat. Mnisi żyli w bardzo surowych warunkach, według starannie przygotowanego planu dnia. Ich dzień składał się z modlitwy, pracy oraz odpoczynku. Do ich obowiązków należała służba nocna, a godziny snu nie przekraczały 4-5 godzin na dobę. Mnisi jedli wszystkie posiłki w celi, poza jednym posiłkiem w niedzielę, który spożywali wspólnie. Śluby milczenia pozwalały na kontemplację Boga w odosobnieniu, na poszukiwanie głębokich wzruszeń w samotności. Ze względu na zachowanie wszechobecnej ciszy w kościele nie było organów, a mnisi śpiewali bez akompaniamentu. Wyobraziłam sobie postaci siedzące w ławach wykonanych z ciemnego, przesadnie rzeźbionego drewna w starym kościele. Jasnobieżowe ściany i malowane niczym w Kaplicy Sykstyńskiej sufity, kontrastowały z brunatnymi ławami, które przedstawiały płaskorzeźby napawających nas lękiem aniołów. Obszerne kaptury zakrywały twarze mężczyzn, dodając im dyskrecji i anonimowości. Rozłożyste rękawy przysłaniały złożone do modlitwy dłonie. Zakrywanie swojego ciała ułatwiała mnichom odkrywanie swojej duszy.

Minęło kilka wieków odkąd zamyśleni zakonnicy dreptali po cichutku po rozległym klasztorze, pozostawiając po sobie echo swojego istnienia. Wchodząc do budynku bezdenny bezgłos, rozchodzący się po pustych pomieszczeniach, odbił się o moje uszy. Słyszałam swoje własne kroki stąpające po starych, drewnianych deskach oraz oddech odbijający się cichym oddźwiękiem o wybielone ściany. W klasztorze panował lekki



door at the end of the hallway was so far away that they seem to recede from me rather than get closer. I missed the presence of the people in the rooms. After all, it is the human beings and not the buildings that create the atmosphere of the place. It is the most visible and obvious in the cities that were abandoned by people. Without the chatter of the walking around passerby, barking of a dog, seller selling the merchandise in the open market, crying of a baby, or the laughter of women, the city loses its life. I love silence, however, not everybody can stand loneliness and an absolute isolation that the monks were experiencing. Just after one hour spent in the monastery I heard the whisper of my own thoughts that became my faithful companion in the solitary possession. All in all, I still appreciated my moments of seclusion that are so different from one's loneliness.

To be continued...



półmrok zakłócony od czasu do czasu światłem wpadającym przez czyste okna. Podążając nieskończenie długimi, opuszczonymi korytarzami, w których nie było żywej duszy, zmieniała się moja percepcja. Drzwi na końcu holu były tak daleko, że wydawały się one oddalać ode mnie zamiast zbliżać. W pokojach brakowało mi obecności ludzi. Jakby nie było, to ludzie, a nie budowle tworzą nastrój danego miejsca. Najlepiej widać to w miastach porzuconych przez człowieka. Bez gwaru przechadzających się ludzi, szczekania psa, sprzedawców handlujących towarami na rynku, płaczu niemowlęcia czy śmiechu kobiet, miasto traci swoje życie. Uwielbiam ciszę, ale do samotności i całkowitej izolacji nie każdy się nadaje. Po jednej godzinie spędzonej w klasztorze słyszałam szept swoich własnych myśli, które stały się moim wiernym towarzyszem w opustoszałej posiadłości. Pomimo wszystko doceniałam moje chwile odosobnienia, które tak bardzo różnią się od życiowej samotności...

CDN



Chopin ist Ewig.

von Piotr Mysłakowski

Chopins Einsamkeit



**„ Familie heißt Probleme.
Schlimm , wenn sie da ist.
Doch viel schlimmer geht's Dir
Wenn du einsam bist.“**

So bestätigen diese allgemeinbekannte Wahrheit die unschätzbaren polnischen Sänger und Kabarettisten „Starsi panowie dwaj“ in einem ihrer Lieder .

War Chopin, der keine Familie gegründet hat einsam? Warum hat er das nicht gemacht? Wollte er nicht, oder konnte er keine entsprechende Lebensgefährtin finden? Vielleicht gab es noch anderen Umstände, die ihm das erschwert haben? Einsam ist man entweder aus eigener Wahl, oder aus Notwendigkeit. Einsamkeit ist allerdings eine naturwidrige Erscheinung, auch wenn sie in der letzten Zeit immer mehr verbreitet ist. Die so genannten Singel können ihre Einsamkeit mit der Arbeit für andere, mit Kunst, oder mit Kontemplation nachholen. Man kann auch zusammen mit jemandem Leben, sogar mit Kindern, ohne eine Beziehung zu bilden, nur um sich auf diese Weise von sozialen Normen und rechtlichen Konsequenzen zu befreien. Manchmal wird Einsamkeit durch individuelle



persönliche Eigenschaften, durch soziale, psychische, oder körperliche Störungen, wie auch durch andere Geschlechtsorientierung verursacht. Die Familie ist eine uralte Sozialform, die jeder Gesellschaft zu Grunde liegt und jede Neigung zur Einsamkeit wurde seit immer als eine Abweichung wahrgenommen. Ein gutes Beispiel dafür ist die biblische Geschichte von Jesus. Ein gesunder, erwachsener Jude, der keine Kinder hatte und nicht verheiratet war, musste damals als anormal gelten. Nach diesem Argument greifen die Forscher, die Zölibat von Jesus bezweifeln.

Wie war es nun mit Chopin? Er ist doch in einer vorbildlichen, liebevollen katholischen Familie mit Eltern und drei Geschwistern aufgewachsen, in der alle damals geltenden Erziehungsnormen pflichtig waren. Sicherlich sowohl er selbst, als auch seine Angehörigen haben sich seine Zukunft bei einer Frau mit einem Kinderschar vorgestellt. Er war kein Einzelgänger, kein Widerling, und auch kein Homosexueller, obwohl manche Forschern es bezweifeln. Sein etwa weibliches Geschmack und sehr emotionale Aussagen können schockieren. Aus der Zeit seiner Kindheit im Warschau gibt es allerdings genug Beweise dafür, das sich Chopin



als jugentliche ungestört entwickelt hat. Das einzige Problem, körperlicher und nicht mentaler Natur, waren die Magenbeschwerden. Er wusste, worin die Verhältnisse zwischen Mann und Frau bestehen und schätzte sowohl den geistlichen, als auch den körperlichen Reiz bei einer Frau. Davon zeugen zahlreiche volle Seufzer Rendezvous im Schulgarten, oder Briefe an Freunde, in denen er schildert, wie schön es ist, am Sonntagmorgen auf einer Couch mit der hübschen Hendriette zusammen zu sitzen. Seine Bekanntschaft mit einer älteren Gräfin Moriololes und vor allem ein mit Einzelheiten in den Briefen beschriebener Skandal, als der 18 jährige Fryderik der Schwängerung einer Hauslehrerin von Familie Pruszek verdächtigt wurde, sind ein weiterer Beweis dafür. (er selber meinte übrigens, er sei mit ihr Spazieren gegangen, doch Lust auf sie habe er keine). Ähnlich war seine Reaktion auf Flirtversuche von einer Klavierspielerin, die sich in Warschau aufgehalten hat. Ihre Aufdringlichkeit hat eine andere Wirkung gebracht, was eine gesunde sexuelle Entwicklung bestätigt. Das war seine eigene Wahl. Hätte er es gewollt, hätte er diese Gelegenheit genutzt. Wer Chopins erste Geliebte war, ist nicht bekannt, obwohl Vieles für die oben genannte Gräfin Aleksandrine de Moriololes spricht. Seine Bezauberung für eine junge Adeptin der Gesangsschule Konstancja Gładkowska hatte dagegen einen platonischen und romantischen Charakter. Es war die Suche nach Ideal.

Sein erster Versuch Familie zu gründen hat mit Wiederbelebung einer Bekanntschaft aus Warschau mit Marja Wodzinska angefangen. Die beiden haben sich 1835 in Dresden getroffen, wo Marja lebte. Fryderik kam nach Paris zurück, nachdem er seine Eltern in Karlsbad besucht hatte. Ihre Freundschaft wurde bald zur Liebe und sie begannen Pläne zu schmieden.



Es gab sogar eine Verlobung, die allerdings geheim gehalten wurde. Fryderik war zu dieser Zeit nach Paris unterwegs. Außerdem wurden seine immer häufigeren Erkrankungen ein Grund für Marjas Mutter, um die Zukunft ihrer Tochter zu befürchten. Deswegen hat sie bei den beiden ein Jahr Probezeit erzwungen, nach dem die entgeltliche Entscheidung getroffen werden sollte. Das aber konnte kein gutes Ende haben. Die anfänglich herzliche briefliche Korrespondenz wurde immer stummer und schließlich ganz banal.

Als Chopin erkannte, dass es zwischen den Beiden nichts mehr gibt, worauf er hoffen und warten könnte, band er alle Briefe von Marja zusammen in ein Bündel mit Beschriftung „Meine Not“ und versteckte sie. In der Chopin gewidmeten Literatur wird dieser Faden gerne aufgenommen und schöpferisch entwickelt. Aus der Biografie des Künstlers wissen wir jedoch, dass die einzige Gelegenheit, sich über die Kinder des größten Klaviervirtuosen mit Marja Wodzinska freuen zu können verloren ging. Welch ein Spaß wäre es für Familienforscher, nach möglichen Nachkömmlingen von Chopin zu suchen. Die Erklärung der Gefühle der jungen, von ihrer Mutter gesteuerten Frau lag vermutlich an der negativen Einstellung zu dem Künstler der restlichen Familie Wodzinski. Sie waren adelig und einen Bürger zu heiraten galt als Missheirat. Die Tatsache, dass Marias Brüder die Jungenschule von Nikolaus Chopin besucht hatten, spielte keine Rolle. Auch der wachsende Ruf Fryderiks und Möglichkeiten, die ihm offen standen, konnten da nicht helfen. Künstler war damals noch nicht gerade der beliebte Beruf der polnischen Hohen Kreise. Die Musiker wurden oft in einen Topf mit Zirkusreitern, Taschenspieler, Magier und so weiter geworfen. Meiner Meinung nach, hätten die Eltern von Maria auf diesen sozialen Unterschied



doch ein Auge zudrücken können, weil sie Fryderik sehr mochten und seine Gabe schätzten. Viel schlimmer war, dass ihre Tochter nach den entfernten Paris umziehen müsste, und bald zu einer Witwe werden könnte. Dazu kamen noch die Klatschereien von gefährlich naher Freundschaft Chopins mit George Sant, die als linksorientierte Gegnerin von jeglichen Anstandsform galt und sich keines guten Rufes erfreute. Diese Bekanntschaft hat sich zu neunjähriger Beziehung entwickelt, die einer Familie ähnelte. Anfangs mohte Chopin diese besitzgierige Frau gar nicht. Sie war fein, hatte schwarze Haare, Glotzaugen und trug typische Männerkleidung. Sie rauchte Zigaretten und schrieb einen Roman nach dem anderen, woran sie auch gut verdiente, weil ihre Romane bald zu den Bestsellern wurden. Die Schriftstellerin hatte den männlichen Spitznamen nach ihrem ersten schöpferischen Versuchen mit Jules Sandeau. Früher war Aurora Dubin, so klang ihr richtiger Name, kurz mit einem Baronen Casimir Dudewant verheiratet. Dieser ehemalige Soldat war nicht besonders nett. Sie hatten zusammen einen Sohn Maurice und vermutlich auch eine Tochter Solange. Nach der Scheidung entschloss George, eine selbstständige Frau zu werden. Erwähnenswert wäre ihre Abstammung von dem polnischen König August dem Starken und die Tatsache, dass ihre Vorfahren meist unehelich waren. George hat Chopin trotz seiner Abneigung erobert. Bald wurde er zu Nohant eingeladen, ihrem Besitz, den sie von der Großmutter geerbt hat. Dort haben sich oft Dichter, Schriftsteller, Mäler und Politiker getroffen. Manche von ihnen waren Geliebte der Wirtin. Chopin und George haben zwei separate Wohnungen gemietet, die nur mit einem Innenhof getrennt waren. Er wollte auf Freiheit und Selbstständigkeit nicht verzichten, brauchte auch Ruhe beim Unterrichten. Er sorgte für den guten Ruf bei den Pariser Höheren Kreisen. George war wahrscheinlich derselben Meinung.



Die Besuche im Nothan haben einen wohltuenden Einfluß auf seine Gesundheit. Stille der Natur und Ruhe machten diesen Ort zum Paradies fürs Komponieren. Bis heute wird diese Gegend auf der Suche nach Erholung gerne besucht. Chopin hat dort ein richtiges Familienleben geführt. Kinder von Georg hat er wie die eigenen behandelt. Er hat sich um sie dermaßen gekümmert, dass Mauricius ihn nicht mochte. Solange dagegen, als sie älter wurde, hat sich in ihren Stiefvater verliebt.

Und was mit dem sogenannten Eheleben? George hat an einen ihrer Freunde geschrieben, seit 7 Jahre lebe sie mit Chopin wie eine Jungfrau. Der Grund war natürlich sein Gesundheitszustand. Atemschwierigkeiten, Husten und Blutungen haben seine Kräfte weggenommen. Kein Wunder, dass auch sexuelle Leistung nicht die höchste war. Er war ein Patient, der viel Geduld, Pflege, Fürsorge und Kraft brauchte. George hat sich für ihn eigentlich geopfert und hat ihm ein richtiges Heim geschafft. Doch zwei Jahre vor seinem Tode die immer wachsende Spannung, Nervosität, Undankbarkeit von Chopin und schließlich ein Streit um Solanges Heirat, haben zur Trennung beigetragen. Chopin und George Sant waren allerdings das berühmteste Paar des Jahrhunderts und somit auch literarische Gestalten.

Es gibt aber auch andere Geschichten mit dem Heirat im Hintergrund, die ebenfalls zu erwähnen sind. Der Komponist war sehr empfindlich dem weiblichen Reiz gegenüber. In der Gesellschaft von Frauen fühlte er sich hervorragend. Die Damen dagegen haben ihre riesige, sogar extatische Bewunderung für seine Persönlichkeit, seinen Humor und natürlich seinen Talent nicht verschwiegen

Das waren Schülerinnen, ihre Mütter und zahlreiche Freundinnen.



Zwischen ihnen war auch Sofia Rosengard, die ohne viel Geld zu haben vieles gewidmet hat, um ihren Traum zu verwirklichen, Chopins Schülerin zu werden. Ihre Begeisterung für den Künstler war so groß, dass sie in ihrem Tagebuch geschrieben hat, sie würde ihm heiraten. Dieser Traum ist jedoch nicht in Erfüllung gegangen. Chopin war Zeuge ihrer Heirat mit dem Dichter Bogdan Zalewski.

Letzten 2 Jahre Chopins Leben waren durch Freundschaft mit Jane Stirling, einer reichen Schottin, die als seine Schülerin auch verliebt war. Dieses Gefühl hatte aber keine Chancen sich zu entwickeln, weil seine Kräfte schon zu Ende waren. Die verliebte Schottin hat ihre Energie auf Pflege und auch die finanzielle Hilfe für ihren Lehrer genutzt. Während der Französischen Revolution und Typhus Epidemie 1847, hat sie für ihn eine Tournee in England und Schottland organisiert. Nach seinem Tod hat sie alle Andenken von Chopin geerbt, die uns Heute zur Verfügung stehen.

Ein anderes Thema sind diese Bekanntschaften des Meisters, die ohne Zweifel intim waren, doch aus fehlendem Beweismaterial als reine Vermutungen bleiben müssen.

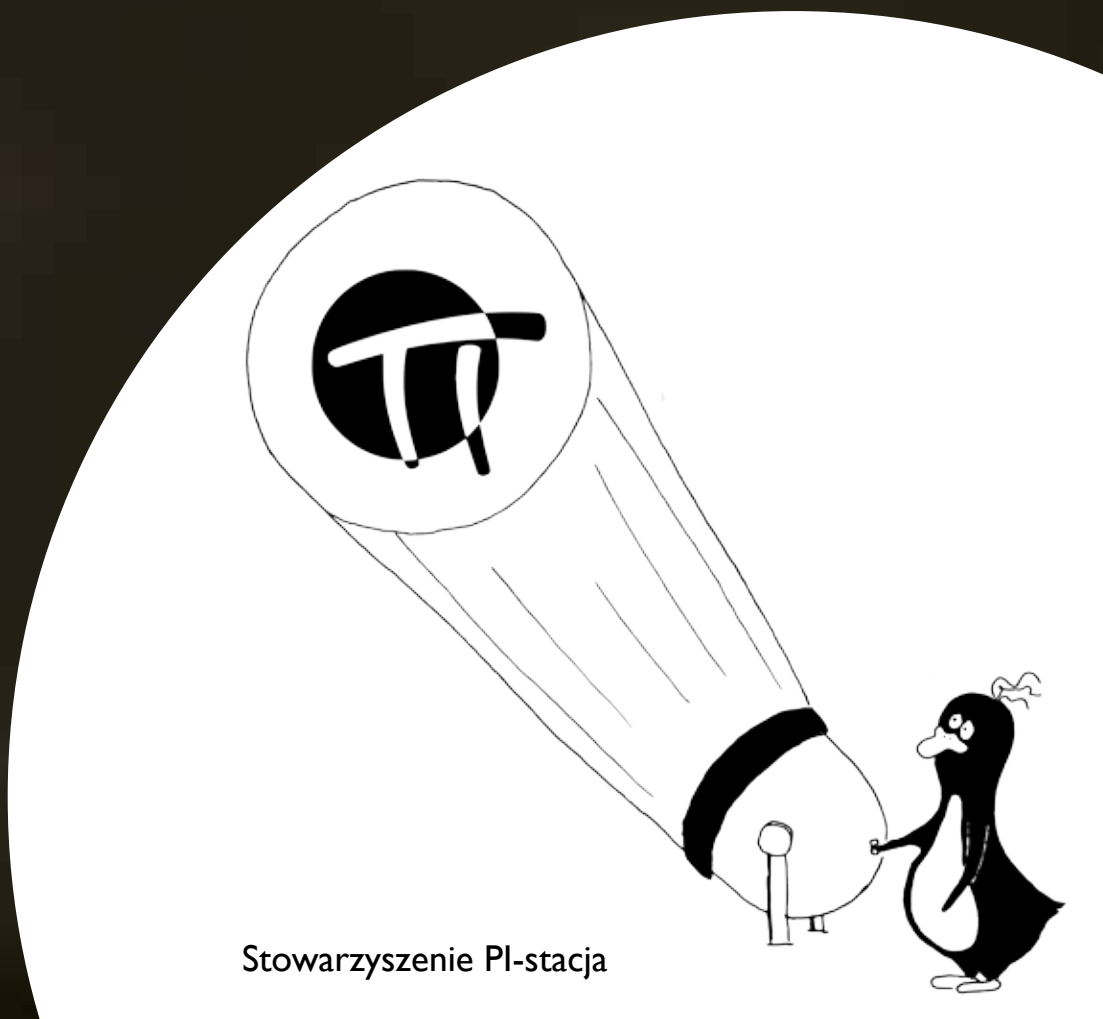
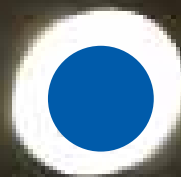
Meistumstritten ist Freundschaft mit Delfina Potocka. Auch wenn Chopins Briefe an Delfina autentsch sind und den eindeutig erotischen Charakter bezweifeln, gibt es viele andere Umstände, die eine körperliche Nähe nicht ausschließen.

Wie wäre Leben von Chopin, wenn er doch Familie hätte? Könnte er seinen Pflichten als Mann und Vater nachgehen? Wie würde das Familienleben seine Werke beeinflussen? Das kann wohl niemand wissen. Es bleibt allerdings noch eine psychologische Frage, auf die bis Heute keine



Antwort gefunden worden ist, und zwar, ob Chopin wirklich einsam war und wie das seine Werke geprägt hat.

**Tłumaczenie na język niemiecki Katarzyna Szczypka.
Polska wersja językowa Gazetownia nr 12(32)
Rodzina.**



Stowarzyszenie PI-stacja